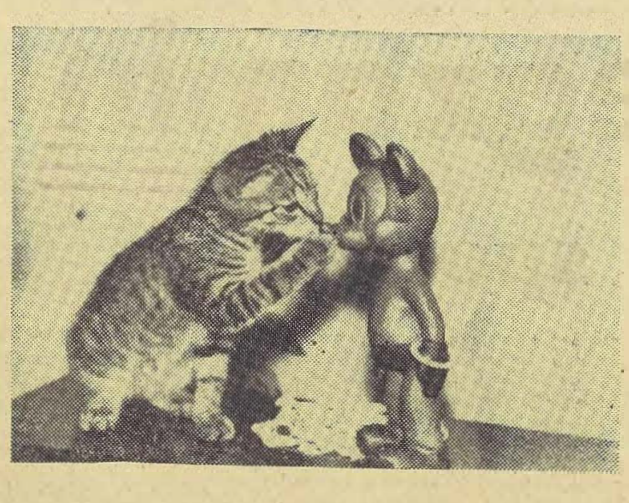

Miłego odpoczynku świątecznego wszystkim czytelnikom życzy Redakcja

WIADOMOŚCI LEGNICKIE

ORGAN KOMITETÓW FRONTU JEDNOŚCI NARODU

TYGODNIK ZIEMI LEGNICKIEJ

Nr 13 (209) Rok VIII — 31 marca — 6 kwietnia 1961 r. — Cena 1 zł

Z frontu wyborczego

Legniccy wyborcy dobrze wywiązali się ze swego obywatelskiego obowiązku sprawdzania nazwisk w spisach wyborców. Ogółem spisy sprawdziło 38.353 wyborców, co stanowi 96,2 proc ogółu uprawnionych do głosowania. W działalności propagandowo-wyjaśniającej, w toku której omawiana była również sprawa sprawdzenia spisów, wyróżniło się szereg obwodowych komitetów Frontu Jedności Narodu.

W rejonie ulicy Świerczewskiego w obrębie działania Obwodowego Komitetu Frontu Jedności Narodu nr 4, na którego czele stoi ob. Linik sprawdziło spisy w obwodowych komisjach wyborczych nr 3 i nr 4 ponad 98 proc. uprawnionych do głosowania. W rejonie ulicy Rewolucji Październikowej przewodniczący Obwodowego Komitetu Frontu Jedności Narodu nr 8 ob. Wojciechowski wraz z aktywem rozwinął szeroką działalność propagandowo-agitacyjną, w której rezultacie wszyscy wyborcy zamieszkali w tym rejonie sprawdzili swoje nazwiska w komisjach obwodowych nr 19 i 20.

Bardzo dobre wyniki osiągnął również Komitet Frontu Jedności Narodu nr 18 z ob. ob. Zazulakiem i Modiendą na czele, który zapewnił sprawdzenie spisów w komisji obwodowej nr 26 przez 99 proc. wyborców.

Ponadto 97 proc. wyborców sprawdziło swoje nazwiska w obwodowych komisjach wyborczych nr 6, 8, 24, 25, i 27. Wśród działaczy Frontu Jedności Narodu należy wyróżnić ob. Antoniego Wala, Zdzisława Doleckiego, Eugeniusza Kempskiego i Witolda Turskiego.

Słabsze wyniki w sprawdzaniu spisów zanotowano w obwodowej komisji wyborczej nr 15, gdzie spisy sprawdziło 92 proc. uprawnionych do głosowania oraz w obwodzie 21, gdzie sprawdziło tylko 89 proc. uprawnionych.

Jak konieczne było sprawdzenie spisów przez jak największą ilość wyborców wykazała znaczna ilość reklamacji dotyczących zarówno pominięcia niektórych nazwisk w spisach, jak i różnego rodzaju przeinaczeń i zmian. Na podstawie złożonych reklamacji obecnie zaistniała możliwość sprostowania tych wszystkich nieścisłości, które by mogły utrudnić przeprowadzenie aktu wyborczego.

Trzeba podkreślić, że w 15-dniowym okresie wyłożenia spisów obwodowe komisje wyborcze na terenie Legnicy dobrze wywiązały się ze swoich obowiązków. Dyżury odbywały się regularnie, a członkowie komisji udzielali wyborcom niezbędnych wyjaśnień i wskazówek.

Obecnie wchodzimy w ostatni decydujący etap kampanii wyborczej. W najbliższym czasie urządzone i przygotowane zostaną do aktu głosowania lokale obwodowych komisji wyborczych, nad którymi patronat objęły legnickie zakłady pracy.

Dużym zainteresowaniem cieszą się wśród mieszkańców Legnicy spotkania wyborców z kandydatami na posłów i radnych. Na spotkaniu załogi Huty Miedzi z kandydatem na posła Pawłem Warcholem i kandydatem na radnego WRN Wiktorem Łachem w dniu 20 marca br. w sali „Ognisko" obecnych było prawie 1.000 wyborców. Obecni z dużym zainteresowaniem wysłuchali interesującego wystąpienia inż. Warchoła, który szczegółowo omówił perspektywy rozwoju zagłębia miedziowego i rolę Legnicy jako stolicy zagłębia. Mówca poruszył szereg zagadnień związanych z rozwojem produkcji rolnej i hodowlanej, a także z zaopatrzeniem ludności miasta. Organizatorom spotkania, Komitetowi Zakładowemu PZPR i Radzie Zakładowej Huty Miedzi należy się duże uznanie. Przy tej okazji należy zaznaczyć, że aktyw Huty Miedzi szczególnie ofiarnie i owocnie pracuje w toku obecnej kampanii wyborczej.

W sali Klubu Inteligencji z przedstawicielami legnickiej służby zdrowia spotkał się kandydat na posła dr Andrzej Andrcasik. Również i na tym zebraniu żywo dyskutowano nad problemami, z którymi na każdym kroku spotykają się pracownicy służby zdrowia.

Maria Hulajew 16 marca spotkała się z załogą Zakładów Dziewiarskich, a 18 marca z mieszkańcami Miłkowic. W dyskusji wyborcy okręgu miłkowickiego poruszyli sprawę lepszego zaopatrzenia wsi w artykuły pierwszej potrzeby i narzędzia rolnicze, konieczność otoczenia mieszkańców troskliwszą opieką lekarską, zapewnienie młodzieży godziwych rozrywek kulturalnych.

Rozpoczęły się już spotkania wyborców z kandydatami na radnych Miejskiej Rady Narodowej. Jedno z pierwszych spotkań odbytych przed kilku dniami w rejonie ulicy Świerczewskiego zgromadziło w sali Klubu Oficerskiego ZBW przy ul. Bielańskiej ponad 300 wyborców. Kandydujący z tego okręgu do Miejskiej Rady Narodowej ob. ob. Stanisław Jamroz, Józef Walczak, Jan Majoran, Anna Węgorzewska, Ryszard Pulawski, Bruno Zaborowski, Wacława Potocka mieli możność zapoznania się z wielu wnioskami i dezyderatami wyborców zmierzających w pierwszym rzędzie do dalszego rozwoju miasta Legnicy i poprawy warunków życia mieszkańców osiedla przy ulicy Świerczewskiego. Szereg dezyderatów zgłoszonych na tym spotkaniu ma charakter ogólny i wymagać będzie pilnego rozważenia przez przyszłą Miejską Radę Narodową.

Wyborcy Okręgu nr 1 bardzo serdecznie powitali swych kandydatów na radnych do Miejskiej Rady Narodowej. Józef Bajgler, Zygmunt Gucia, Zbigniew Korabczyński, Adela Kordys i Jan Rutkowski z wielką uwagą wysłuchali postulatów wyborców, którzy m. in. słusznie domagali się załatwienia sprawy oświetlenia i uporządkowania osiedla górniczego „Lena" w Legnicy.

PRESSLER

Za pięć lat będziemy jeździli metrem

Ogromny ruch pojazdów mechanicznych na ulicach Chojnowa już dziś daje się nam we znaki. Co będzie kiedy po rozwinięciu ośrodka śledziowego miasto to wzrośnie jeszcze bardziej? Ale wówczas problem ten zupełnie zniknie. Mozolne starania Miejskiej Rady Narodowej na szczeblu centralnym dały pożądane rezultaty.

Ministerstwo Komunikacji zatwierdziło budowę podziemnej kolejki, czyli metro. Połączy ona centrum Chojnowa z krańcami miasta. Dworzec główny zostanie zlokalizowany na Rynku.

Do prac przystąpi się już 1 kwietnia br. Inwestycja ta zostanie oddana do użytku w 1965 roku, akurat z chwilą wydobycia pierwszej tony śledzi z jeziora w Rokitkach.

(lemil)

SPRAWY DROBNE, ALE DRAŻLIWE

Na jednej z rozpraw jaka toczyła się niedawno przed Sądem Wojewódzkim we Wrocławiu mecenas N. rozpoczął swoją mowę obrończą takim oto zdaniem: „Mieszkanie jest potrzebne człowiekowi do życia jak woda, nie wolno więc, proszę Wysokiego Sądu, pozbawiać go mieszkania, tak jak nie można skazywać go na wieczne pragnienie"! Przytoczony fragment przemówienia brzmi dla obserwatora trochę pompatycznie, ale tam na sali sądowej w zestawieniu z konkretną tragedia człowieka, którego eksmitowano z mieszkania (nieważne jest przecież w tym wypadku dlaczego — to sprawa inna), nie posiadało ono nic z fałszywego patosu — brzmiało bardzo prawdziwie. Parafrazując metaforę mecenasa N., że „mieszkanie jest potrzebne jak woda", należałoby zapytać — jakie mieszkanie, jaka woda? Oczywiście tutaj każdy bez zająknięcia odpowie „mieszkanie nadające się do użytku, woda zdatna do picia". Pozwólcie więc, że jeszcze i tym razem posłużę się cytatem, ale już z listu Henryka G. z Legnicy, przysłanego do naszej redakcji z prośbą o interwencję.

„25 października 1960 roku otrzymałem w końcu mieszkanie, lecz prawie bez drzwi i z powybijanymi szybami. Poza tym piec bardzo dymi i jedynie gazem można opalać, o ile w ogóle można, bo płomień jest bardzo maleńki i wreszcie podłogi są przegniłe — wymagają remontu.

Mam na utrzymaniu chorą żonę, która powróciła ze szpitala i dwóch synków (5 i 3 lata). Co mam robić? W mieszkaniu jest tylko 4 stopnie C, a mrozy są coraz większe (list datowany jest 25 grudnia ub. r.). Już trzy razy pisałem do MZBM — otrzymałem co prawda odpowiedź, ale i na tym pisaniu się skończyło.

Gaz palę przez całą noc, ale płomień jest bardzo słaby i może podczas naszego snu zgasnąć, a potem... cała rodzina może się zatruć".

Tyle list. Interwencja poskutkowała, historia zakończyła się happy andem. Sprawa na pozór jest bardzo prosta (zawinił tutaj przede wszystkim kwaterunek, gdyż nie powinien wydawać przydziału na nieodremontowane mieszkanie) i nie wymaga jak by się zdawało żadnego komentarza, ale... jest jeszcze właśnie to „ale", o tym jednak trochę później, na razie proszę posłuchać jeszcze jednego, ostatniego już fragmentu listu, którego autorem jest Jan P., także mieszkaniec Legnicy.

„Zwracam się z prośbą o pomoc. Miejski Zarząd Budynków Mieszkalnych przeprowadzał remonty ubikacji w naszym bloku, natomiast na mojej klatce schodowej nie doprowadzono wody do ubikacji, gdyż jak mówiono, była za bardzo uszkodzona i reperację odłożono na później. Od tego czasu upłynęło... 7 lat i nikt nie przyszedł. Składałem dwukrotnie podanie do rejonu mieszkaniowego przy ul. Czarnieckiego, chodziłem do inspektora, ale do dziś nie mam żadnej odpowiedzi. Muszla w ubikacji przewraca się, woda przecieka z drugiego na pierwsze piętro. Teraz, to jest dnia 30 stycznia, po tych mrozach popękały rury w pustym, niezabezpieczonym od mrozów mieszkaniu na parterze (uprzednio zajętym przez spółdzielnię „Jedność"). Woda spływająca z popękanych rur znajdujących się w pustym mieszkaniu zatapia mi piwnice, w których przechowuję ziemniaki.

Zgłosiłem o tym fakcie w obwodzie przy ulicy Polnej w dniu 1 lutego br. Dziś, to jest 3 lutego dostałem ustną odpowiedź, że w tej chwili nie może (tzn. MZBM) nic zrobić, bo nie ma czym — brak benzyny i cyny do lutowania. Jestem bezradny..." itd. itd.

Skarg tego typu napływa do naszej redakcji dużo — przynosi je niemal codziennie każda poczta. Zdaję sobie sprawę, że są to rze-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Wycofać piwo z kiosków!

W ostatnim czasie na wielu zebraniach mieszkańcy Legnicy coraz częściej dawali wyraz swoim słusznym żądaniom wycofania piwa ze sprzedaży w kioskach. Sprzedaż piwa jest nie tylko źródłem zakłócania spokoju ulicznego, lecz również powoduje zanieczyszczanie sąsiednich posesji. Na pewno nie jest budujący widok słaniających się na nogach osobników, od wczesnego ranka oblegających rozsiane tak licznie po mieście kioski z piwem. Idąc na spotkanie tym życzeniom wyborców Prezydium Miejskiej Rady Narodowej postanowiło wydać z dniem 1 kwietnia br. zakaz sprzedaży piwa w kioskach, obejmujący zarówno piwo beczkowe jak i piwo butelkowe. Amatorzy piwa będą mogli zaspokoić pragnienie w zakładach gastronomicznych, a także w specjalnych pijalniach, które w niedługim czasie zostaną otwarte.

I. P.

Ziemia Złotoryjska przed wyborami

W miastach, osiedlach i wsiach na terenie powiatu złotoryjskiego odbywa się obecnie wiele spotkań wyborców z kandydatami na radnych do rad narodowych i kandydatami na posłów.

Jednym z ciekawszych było spotkanie w Złotoryi, które odbyło się w sali teatralnej Powiatowego Domu Kultury przy udziale ponad 400 osób. Przybyli kandydaci na posłów — Paweł Warchoł i Antoni Lichowski, kandydat na radnego do Wojewódzkiej Rady Narodowej prof. Włodzimierz Boerner i przedstawiciele miejscowych władz.

Pierwszy zabrał głos przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej, Władysław Sinek. Zapoznał on wyborców z programem rozwoju miasta w latach 1961—65 oraz z osiągnięciami i brakami dotychczasowej MRN.

Kandydat na posła inż. Paweł Warchoł.

Drugim z kolei mówcą był tow. Paweł Warchoł. Jest to postać szczególnie popularna wśród chłopów. Z wykształcenia inżynier-rolnik jest z Ziemią Dolnośląską związany od 14 lat. Tu pracował początkowo jako dyrektor, a następnie wicedyrektor Zjednoczenia PGR. Obecnie pełni funkcję kierownika Wydziału Rolnictwa WRN. W swym wystąpieniu tow. Warchoł zapoznał wyborców ze sprawami, którymi zamierza się zająć jako przyszły poseł. Na sercu leży mu szczególnie rozwój rolnictwa i sprawa zatrudnienia kobiet.

O swoich zamierzeniach mówili także tow. Lichowski i prof. Boerner. Następnie rozpoczęła się dyskusja, w czasie której wyborcy oceniali pracę dotychczasowej rady narodowej i wysuwali postulaty na przyszłość. Najważniejsze z nich to: otwarcie szkoły zawodowej, drugiej apteki, uaktywnienie pracy komitetów blokowych, oświetlenie ulic i lepsze zaopatrzenie sklepów w artykuły spożywcze.

W części artystycznej wystąpili artyści Opery Wrocławskiej.

Dość ciekawe spotkanie zorganizowano także w Wojcieszowie. Wyborcy domagali się między innymi uruchomienia gabinetu rentgenowskiego i zaangażowania lekarza okulisty. Inne postulaty mówiły o otwarciu zakładu, który mógłby zatrudnić kobiety.

W Świerzawie wyborcy postulowali pod adresem przyszłej rady narodowej, aby zajęła się w pierwszym rzędzie likwidacją niezdrowego pyłu, unoszącego się z młyna kamieni, prowadzonego przez zakłady „Inco" w Warszawie oraz remontem miejscowego kina.

Na dwa dni przed wyborami — w dniu 14 kwietnia br., w trzech miejscowościach zorganizuje się przedwyborcze wiece ludności. Odbędą się one w Złotoryi, Chojnowie i Świerzawie.

Tekst i zdjęcia:

LESŁAW MILLER

Kandydat na posła Antoni Lichowski (po prawej) i sekretarz KP PZPR Franciszek Górzański w czasie spotkania z wyborcami w Złotoryi.

Utoniemy w kwiatach

Legnica wierna jest tradycji i nadal chce utrzymać zaszczytne miejsce w województwie pod względem ukwiecenia i zazielenienia miasta. W tym roku — ze względu na obchody „Dni Legnicy", nasze miasto „utonie" wprost w dywanach kwiatów.

Zarząd Zieleni Miejskiej posadzi w różnych punktach naszego grodu aż 180 tysięcy kwiatów, tj. o 30 tysięcy więcej niż w roku ubiegłym. Na rogu ul. Lenina i Wrocławskiej — jak już swego czasu pisaliśmy — powstanie z kwiatów ogromny herb Legnicy. Zobaczymy go pod koniec maja.

W miejscu zlikwidowanych rumowisk powstanie 10 nowych skwerów — razem ich będzie 56. Posadzi się około 3 tysięcy drzewek i krzewów. W kilku miejscach urządzi się żywopłoty. Przy ul. Świerczewskiego i Piastowskiej powstaną pasy zieleni. Zarząd Zieleni Miejskiej pomaluje około 400 ławek i odnowi kąpieliska przy ul. Głogowskiej i Stromej.

Podobnie jak w roku ubiegłym ogłoszony zostanie konkurs na najładniej ukwiecone balkony, okna, ogródki itp. Zwycięzcy otrzymają cenne nagrody rzeczowe.

Przewidziany jest w związku z tymi pracami wzrost zatrudnienia. Z funduszu interwencyjnego znajdzie pracę w Zarządzie Zieleni Miejskiej ponad 120 kobiet.

Na naszym zdjęciu: pracownica szklarni ZZM, Danusia Sznajder, podczas podlewania prymulek.

Tekst i zdjęcie: (lemil)

Wielki egzamin dojrzałości społecznej

Do Konkursu Czystości, Estetyki i Kultury Życia Codziennego, obejmującego swym zasięgiem teren całego Dolnego Śląska zgłosiło akces nasze miasto, znane ze swych nieprzeciętnych ambicji na tym odcinku.

Powołana została Miejska Komisja Konkursowa, która po wstępnych zebraniach roboczych przystąpiła obecnie do ostatecznego i szczegółowego opracowania planów realizacyjnych. W swych generalnych założeniach plany Komisji zmierzają w kierunku wykonania większości prac konkursowych w ramach czynów społecznych wychodząc ze słusznego chyba założenia, że w sprawach, które dotyczą nas samych i mają na celu stworzenie lepszych i doskonalszych warunków bytowania powinna wziąć udział przede wszystkim strona zainteresowana, a więc całe społeczeństwo legnickie.

W myśl założeń planów Komisji miasto nasze podzielone zostanie na obwody w granicach terytorialnych ADM, wystosowane zostaną apele, wzywające do organizowania specjalnych zespołów roboczych składających się z uświadomionych obywateli związanych uczuciowo ze swym miastem, sporządzone zostaną szczegółowe wykazy zieleńców i skwerów, które należy uporządkować i nowych, które trzeba będzie założyć. Nie zostaną pominięte żadne prace, których zasadniczym zadaniem będzie generalne uporządkowanie naszego miasta,

Legnica musi być jednym z najpiękniejszych i najczystszych miast na Dolnym Śląsku. Naszym miastem, pełnym zieleńców, kwiatów, czystych ulic, estetycznych i różnobarwnych elewacji, pomysłowych wystaw. Nie wolno nam przy tym zapominać, że w roku bieżącym odbędą się u nas dwa obchody: „Dni Legnicy" w pierwszej połowie czerwca i „Tydzień Ziem Zachodnich" w pierwszej połowie maja. Oznacza to, że w ramach tych obchodów, a szczególnie w czasie trwania „Dni Legnicy" miasto nasze odwiedzą wybitni przedstawiciele władz centralnych z Warszawy; przybędą wycieczki z całego kraju i wycieczki zagraniczne,

MY I NASZE MIASTO

Jednym z podstawowych celów działania Miejskiej Komisji Konkursowej będzie:

po pierwsze — wyzwolenie pełnej aktywności sił społecznych mieszkańców miasta,

po drugie — uaktywnienie naszej świadomości obywatelskiej i naszej głębokiej troski i współodpowiedzialności za nasze miasto, za jego estetyczny, czysty i piękny wygląd i wreszcie,

po trzecie — stworzenie po prostu legnickiego klimatu konkursowego, który wpływałby na każde nasze działanie.

Prace Miejskiej Komisji Konkursowej obejmują swym zasięgiem wszystkich mieszkańców Legnicy, a w pierwszym rzędzie zakłady pracy, instytucje i organizacje, spółdzielczość, zrzeszenia, związki młodzieżowe itp. Po przeprowadzeniu wstępnej akcji propagandowej w „Wiadomościach" i rozplakatowaniu afiszów — Komisja wysłała 90 specjalnych pism — apelów, wzywających do wzięcia udziału w konkursie i zorganizowania współzawodnictwa międzyzakładowego i wewnątrzzakładowego z ustaleniem lokalnych nagród. Wydawać by się mogło, że konkurs o tak chwytliwej i pożytecznej treści wywoła co najmniej serdeczne i głębokie zrozumienie, a co za tym idzie, spowoduje szybkie włączenie się do jego realizacji. Rzeczywistość jednak nie jest bynajmniej radosna. Małą ilustracją stosunku do naszego konkursu niech będzie fakt, że na wysłanych 90 apeli Komisja otrzymała dotychczas zaledwie 37 odpowiedzi. W tym miejscu chciałoby się powołać komisję z udziałem wybitnych psychologów, która podjęłaby się trudu rozwiązania tego niezrozumiałego dla mnie stanowiska i usprawiedliwiła przyczyny braku nadesłania aż 53 odpowiedzi. Rachunek w zasadzie taki prosty, jasny. To samo miasto, analogiczne, należy przypuszczać, warunki i wydawać się powinno tej samej społecznej wartości ludzie, zajmujący odpowiedzialne stanowiska kierownicze czy też powołani do organizacji samorządu robotniczego. Dlaczego więc to nierównomierne pojmowanie obowiązków związanych z miastem, w którym się mieszka i w którym się pracuje i do tego w sprawie, która stanowi przecież jeden z moralnych nakazów każdego uświadomionego i kulturalnego człowieka i która jednocześnie w chwili obecnej trafnie być winna jako życiowa konieczność współczesnej Legnicy.

Za przykład godny wysokiego uznania stawiamy Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Legnicy, które jako jedna z pierwszych instytucji, na specjalnym posiedzeniu podjęło uchwałę o wyasygnowaniu kwoty 60.000 złotych na nagrody za najlepsze osiągnięcia w naszym legnickim konkursie, podkreślając w ten sposób jego wagę, doniosłość i wysoką rangę społeczną.

Nie chcemy wyciągać zbyt pochopnie wniosków, ani wniosków tych uogólniać, pozwolimy sobie natomiast raz jeszcze zaapelować do tych 53 „opieszałych" o nadesłanie do Komisji odpowiedzi i czynne włączenie się do konkursu, naszego legnickiego Konkursu Czystości i Estetyki.

M. ZEMBRZUSKI

Sprawy drobne, ale drażliwe

(Dokończenie ze str. 1)

czy niebywale drażliwe i trudno np. w sytuacji Henryka G. czy Jana P. wysłuchiwać jakichkolwiek tłumaczeń, bo przecież żaden argument nawet jak najbardziej słuszny i obiektywny, widziany poprzez kłęby dymu wydobywające się z własnego pieca, traci swą ważkość. — Jednak spraw tych nie można skwitować milczeniem. Sami przecież, pisząc do redakcji jak do przysłowiowego wujka z Ameryki, od którego oczekujecie pomocy, zmuszacie nas do mówienia, proszę więc teraz o trochę cierpliwości — być może wiele spraw niejasnych zostanie wyjaśnionych, uniknie się na przyszłość wielu nieporozumień. Wróćmy jednak do tego ale...

Chciałbym skierować tutaj uwagę na inny aspekt tej sprawy. Nieomal wszystkie skargi cechuje to samo podejście do zagadnienia, a mianowicie, całkowita bierność poszkodowanych. Oczywiście piszą oni listy, zażalenia do redakcji i innych instytucji, ale też i na tym ogranicza się ich aktywność. Nie wiem dlaczego uważają, że jedynie Miejski Zarząd Budynków Mieszkalnych jest obowiązany dbać o ich mieszkania, zwalniając siebie samych od jakichkolwiek kłopotów z tym związanych. A przecież właśnie każdy z nas powinien być tą pierwszą instancją przyjmującą skargi i realizującą własne postulaty. My jednak wolimy czekać cierpliwie chociażby i siedem lat, dławić się dymem, marznąć, patrzeć jak woda nam zalewa ziemniaki, niż samemu zabrać się do usunięcia nieraz drobnych uszkodzeń, które nie reperowane przybierają coraz większe rozmiary. Tak, wtedy pomoc MZBM jest już konieczna, ale można jej było w wielu wypadkach uniknąć nie narażając w ten sposób państwa na dodatkowe koszta, a siebie na rozstrój nerwów. Ażeby nie być gołosłownym, powrócę znowu do listu Henryka G. Nie mam zamiaru negować słuszności jego pretensji wysuniętych pod adresem MZBM, tylko... Jak się okazuje, Henryk G. właśnie ze względu na zły stan mieszkania otrzymał 1000 zł z zakładu pracy z przeznaczeniem na remont. Pewnie, suma nie jest wielka, ale na pewno można było za nią oszklić okna (których bądź co bądź MZBM wcale nie ma obowiązku naprawiać — takie uszkodzenia każdy lokator winien usuwać we własnym zakresie), uszczelnić drzwi itp. Henryk G. wydał jednak pieniądze na zupełnie inne rzeczy, zaczął natomiast pisać listy. Dziwić się tylko należy, jak chcąc wzruszyć sumienia innych ludzi losem chorej żony i małych dzieci trzęsących się z zimna, nie wzruszył samego siebie, bo przecież gdyby tak było, na pewno nie siedziałby z założonymi rękami czekając na łaskawą odpowiedź administracji.

Podobnie sprawa wygląda z Janem P. Czyż nie rozsądniej byłoby interweniować w MZBM przed nastaniem mrozów i popękaniem rur, przypominając, że na parterze stoi puste, nie zabezpieczone przed zimą mieszkanie? Na pewno, ale dopóki woda nie zaczęła zalewać piwnic, cała ta sprawa była mu obojętna, bo nie dotyczyła bezpośrednio jego — a los też bywa czasami złośliwy.

Może ktoś się oburzyć czytając ten artykuł wiem, że większy poklas wśród czytelników zyskałby generalny „najazd" na MZBM, biurokrację itp. Nie wybielając jednakże tej ostatniej instytucji, chciałem zwrócić uwagę na fakt, iż wiele tutaj zależy od nas samych, od naszej postawy obywatelskiej. Stawiając duże wymagania innym, nie zapominajmy także przede wszystkim o sobie. Przyzwyczailiśmy się cały ciężar utrzymania naszego mieszkania w należytym stanie składać na barki państwa — cały czas żądamy, sami w zamian niewiele dając.

Niesprawiedliwe byłoby jednakże uogólnianie tych historii w stosunku do wszystkich mieszkańców Legnicy — nie każdego przecież cechuje lekceważący stosunek do mienia społecznego, czy państwowego. Oczywiście, jest to tylko jedna strona medalu. A jak jest z MZBM, jak wygląda sprawa od strony wykonawcy? O tym już w następnym numerze.

Dionizy Sidorski

(2)

Legnica za trzy lata

W TROSCE O ZDROWIE I WYPOCZYNEK

Wiemy, że nowe zakłady lecznictwa zapobiegawczego stwarzają większe możliwości dla roztoczenia właściwej opieki zdrowotnej nad załogami zakładów pracy, umożliwiają prowadzenie na szeroką skalę badań profilaktycznych a także stanowią ważny czynnik w walce o poprawę warunków higieny i bezpieczeństwa pracy. Ogółem na lata 1961—1963 przewiduje się uruchomienie 7 takich zakładów spośród których zaklady przy Obwodowym Urzędzie Pocztowym, Fabryce Przewodów Nawojowych oraz Spółdzielni im. Rosenbergów zostały już uruchomione.

W zakresie lecznictwa zamkniętego najważniejszym postulatem jest podjęcie wstępnych przygotowań do budowy w następnej 5-latce nowego szpitala na 460 łóżek. Konieczność budowy tego szpitala podyktowana jest w pierwszym rzędzie brakiem możliwości eksploatowania na dalszą metę szpitala nr 1 przy ul. Reymonta. Szpital ten wprawdzie poddany jest w chwili obecnej kapitalnemu remontowi, jednak jego ekspioatacja po roku 1970 nie wydaje się możliwa. Poza tym coraz bardziej widoczna staje się potrzeba przeniesienia szpitala zakaźnego z ulicy Polnej do innego bardziej przystosowanego dla tych celów obiektu. Przesłanką dla dalszego rozwoju lecznictwa będzie dalszy wzrost zatrudnienia lekarzy, których ilość powinna osiągnąć w roku 1963 około 105 w stosunku do 90 w chwili obecnej.

Oczywiście będą podejmowane dalsze wysiłki dla modernizacji wyposażenia i sprzętu naszych placówek leczniczych, na które to cele przewidziane zostały poważne środki.

Program zakłada poważną rozbudowę urządzeń sportowych i wypoczynkowych. W najbliższym 3-leciu w sferze realizacji powinna znaleźć się budowa centralnego stadionu miejskiego obejmującego obecnie stadion „Dziewiarza" i część terenów powystawowych. Obok boiska piłki nożnej powstaną tam boiska siatkówki, koszykówki, bieżnie i inne urządzenia dla uprawiania sportu.

W ostatnim czasie wysunięta została inicjatywa budowy dużego ośrodka sportów wodnych i wypoczynku nad jeziorem kunickim. Należy spodziewać się, że w oparciu o środki państwowe i przy wydatnej pomocy czynów społecznych ludności obiekt ten zostanie już w roku przyszłym oddany do publicznego użytku,

ROZWÓJ SIECI HANDLOWEJ

Dla poprawy zaopatrzenia ludności w podstawowe artykuły przewiduje się oddanie do użytku w latach 1961—1963 — 30 nowych sklepów wyłącznie o nowoczesnych formach sprzedaży, to jest samoobsługowych i prezentacyjnych. Ponadto uruchomione zostaną 4 zakłady gastronomiczne w tym 2 restauracje i 2 bary. Jednocześnie postępować będzie naprzód modernizacja sieci sklepów, którą objęte zostaną w ciągu najbliższych trzech lat 34 placówki handlu artykułami przemysłowymi oraz 16 sklepów spożywczych.

Nowe wyposażenie i sprzęt otrzyma ponad 40 sklepów o tradycyjnych formach sprzedaży. Zwiększona zostanie zgodnie z postulatami ludności ilość barów mlecznych, których w tej chwili jest stanowczo za mało. Między innymi w najbliższym czasie nowy bar mleczny powstanie w lokalu zajmowanym dotychczas przez kawiarnię „Bajka".

Powstaną również nowe samoobsługowe sklepy mięsne i punkty sprzedaży artykułów garmażeryjnych. Dziesiątki nowych reklam neonowych i szyldów świetlnych wniosą nowy akcent w wygląd wieczornej Legnicy.

Portmonetka pozwoli

W dniu 23 marca br. odbył się w teatrze im. G. Dua przegląd odzieży produkowanej przez Spółdzielnię im. Rosenbergów w Legnicy. Pokaz ten okazał się ciekawą impreza, w czasie której oglądaliśmy kilkadziesiat modeli garderoby damskiej, męskiej i dziecięcej...

Taka mniej więcej treść komunikatu sprawozdawczego w zasadzie wyczerpywałaby sprawę, gdyby szło o pokaz, który nie wzbudziłby szczególnego zainteresowania. Tym razem jednak sprawa ma się inaczej i dlatego warto poświecić jej kilka uwag.

Spółdzielnia im. Rosenbergów zaprezentowała nam, zgodnie z podjętym hasłem „tanio i ładnie" — mnóstwo wzorów garderoby naprawdę eleganckiej i naprawdę niedrogiej. Wystąpiła z dużą kolekcją płaszczy, garsonek i najróżniejszych kostiumików (w cenach od 200 do 500 złotych). Podziwialiśmy pomysłowe komplety trzyczęściowe, składające się ze spodni, spódnicy i wełianka, stanowiące doskonały zestaw stroju wczasowego. Podobały nam się piękne suknie z dzianiny, efektowne kurtki i prochowce

Widzieliśmy doskonale prezentującą się odzież męską, a więc lekkie garnitury na sezon przejściowy, marynarki i płaszcze w supermodnych fasonach i po niespotykanych cenach. Młodociane modelki (trzy- i pięcioletnie) zademonstrowały ładne ubranka dziecięce.

Dla przykładu podam, że cena szmizjerki, która wszystkim się podobała, wynosi 171 zł, a cena efektownego kompletu 190 zł. Słowem wszystko było bajecznie kolorowe i bajecznie tanie.

Trzeba przyznać, że Spółdzielnia Rosenbergów podjęła poważną robotę, stawiając sobie za zadanie produkcję rzeczy gustownych, a dostępnych dla każdej kobiety. Jest to dla nas niezwykle miła niespodzianka. Obecnie więc chodzi tylko o to, aby oglądane na pokazie wzory trafiły w odpowiedniej ilości do legnickiego handlu. Na marginesie chciałabym dodać, że my kobiety najchętniej nosimy garderobę produkowaną w krótkich seriach. Najpiękniejsza kreacja traci bowiem na uroku, jeśli jest „odbita" w bardzo dużej ilości identycznych egzemplarzy. Ponadto prosimy przedstawicieli naszego handlu o zamawianie poszczególnych modeli w różnych kolorach, nie wszystkie bowiem kobiety mogą nosić różowy kostium, natomiast zachwycone jego fasonem marzą o takim stroju w kolorze spokojniejszym i bardziej praktycznym.

A ogólny wniosek taki, że coraz liczniejsze u nas pokazy mody i to nie tylko w dużych ośrodkach, ale i na tak zwanej prowincji, pozwalają wierzyć, że klient zaczyna być wreszcie panem sytuacji i niedługo przyjdzie dzień, w którym znikną ze sklepów kostiumy — mundury z buraczkowego sukna i budrysówki chłopięce z wypchanymi po uszy ramionami

Przegląd mody organizowany przez Spółdzielnię im. Rosenbergów urozmaicony był doskonałymi występami znanych artystów warszawskich — Józefiny Pellegrini, Stefanii Górskiej, Adolfa Dymszy i Tadeusza Olszy. Konferansjerkę prowadził przystojny i wytworny Leszek Mikułowski, którego modelki demonstrujące kolekcję odzieżową, obrzucały niezliczoną ilością powłóczystych spojrzeń.

A zatem brawo — impreza się udała, a pokazów mody nigdy nie będzie za dużo.

Zet.

Nasi kandydaci

Lucjan Misiak

Do Powiatowej Rady Narodowej w Złotoryi kandyduje między innymi Lucjan Misiak. Jest on długoletnim działaczem Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Obecnie pełni funkcję sekretarza Powiatowego Komitetu ZSL. W okresie przedostatniej kadencji Misiak był wiceprzewodniczącym Powiatowej Rady Narodowej w Złotoryi.

Jako przyszły radny nasz kandydat zamierza zająć się pracą w komisji rolnictwa.

(lemil)

Z życia TPN

720 - lecie bitwy pod Legnicą

Towarzystwo Przyjaciół Nauk organizuje w tym roku wyjątkowo uroczysty obchód 720 rocznicy sławnej bitwy z Tatarami pod Legnicą, stoczonej przez wojska Henryka Pobożnego w 1241 r. W programie uroczystości przewidziana jest sesja naukowa z udziałem przedstawicieli środowisk naukowych wrocławskiego i warszawskiego oraz specjalna wystawa historyczna.

„Wiadomości Legnickie" poświęcą 720 rocznicy bitwy pod Legnicą specjalny dodatek obficie ilustrowany, który ukaże się 7.IV. br. Będzie on również zawierał szczegółowy program sesji, jaką TPN organizuje w niedzielę, 9 kwietnia br. w sali MDK.

Tow. Przyjaciół Nauk apeluje do kierowników i nauczycielstwa szkół legnickich oraz okolicznych powiatów o zorganizowanie we własnym zakresie choćiażby najskromniejszych obchodów zbliżającej się 720 rocznicy bitwy pod Legnicą, tego doniosłego wydarzenia historycznego, wiążącego się z naszym regionem.

Liczymy także, że sesja naukowa i wystawa przygotowana przez TPN w Legnicy spotkają się z żywym zainteresowaniem całego miejscowego społeczeństwa, a w szczególności organizatorów życia kulturalnego.

Wiersze wyróżnione w konkursie

Jan Minkiewicz

Wyznanie

(GODŁO: „STOROMADNA")

Cuchnący nieład wojny był na twych ulicach
I obcość w pięknym parku zatłoczonym wojskiem,
Niegościnnie i chłodno witałaś Legnico,
Nas przybyszów, — o miasto — swoje, lecz nie swojskie!

A my, zmęczeni drogą niepewną i żmudną
Jak te wędrowne ptaki znużone po locie
Pragnęliśmy cię kochać — lecz tak było trudno,
Bo drogi kraj dzieciństwa śnił się nam co nocy.

I jęliśmy się borykać z tą trudną miłością
Uczyliśmy się kochać — ty nas, a my ciebie,
W te lata, które przyszły z codzienną szarością,
Z powszednią ludzką myślą o powszednim chlebie.

Zwykły nasz byt, codzienny trud piętnastolecia
Zespolił nas i związał z ziemią naszych przodków,
Dziś już wiemy Legnico, że dla naszych dzieci
Ty będziesz lat młodzieńczych krainą przesłodką.

Musiała nas, przybyszów zza Buga i Niemna
Z tymi na Dobrym Polu, co pokładli głowy
Poprzez wieki połączyć jakaś nić tajemna,
Że i my dzisiaj polec za Ciebie gotowi.

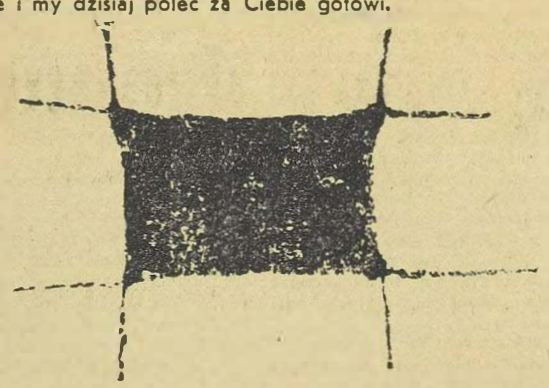

Witold Fiderkiewicz

Zmierzch

(GODŁO: „SIGMA")

Głogowska brama nawleka na srebrne nitki zmierzchu
czerwień tramwajów
gubiących swój cień w kamiennej melancholii
mistrza Amberga.
Soczyste refleksy zamczyska grubym profilem
kładą się miękko
szukając swych kształtów
swą treść wśród traw przepadłą...
Zmierzch płynie koralem zmąconego dnia
smugami ciszy, echem beztroskim rozmowy,

Od redakcji

Wyniki konkursu otwartego, ogłoszonego przez Wydział Kultury MRN wespół z Komitetem Obchodu „Dni Legnicy", wykazały ponad wszelką wątpliwość, że miasto nasze posiada dynamiczne środowisko twórcze, reprezentujące szeroki wachlarz zainteresowań, zarówno w dziedzinie plastyki, jak muzyki i literatury.

Pozostawiając specjalistom fachową ocenę nagrodzonych i wyróżnionych prac, pragniemy wyrazić głęboką i serdeczną radość z powodu wydobycia na jaw talentów i uzdolnień, które bez tego startu może nie wyszłyby na szerszą arenę.

Prześliczna piosenka H. Karlińskiego do słów A. Matuszczak „Druga młodość" czaruje i wzrusza. Są wszelkie znaki na niebie i ziemi, że wzbogaci ona repertuar naszych czołowych pieśniarek, a już na pewno znajdzie się wkrótce na ustach wszystkich mieszkańców naszego miasta. Szkoda, że p. Karliński nie zgłosił swego utworu na ogólnopolski konkurs piosenki, miała bowiem wszelkie szanse współzawodniczenia z nagrodzonymi tam utworami.

Piękny wiersz Jana Minkiewicza chwyta za serce i wyraża to, co czuje każdy z mieszkańców naszego miasta, złączonych nierozerwalnymi więzami z piastowską ziemią praojców.

O tym, jak wrastaliśmy w tę ziemię, o trudnej nieraz miłości do pięknej Ziemi Dolnośląskiej zwierzają się wszyscy autorzy utworów literackich, którym poświęcamy niniejszy „Arkusz Literacki", pragnąc udostępnić je szerokim rzeszom naszych czytelników.

Liczna grupa legnickich plastyków wzięła udział w konkursie zamkniętym na plakat poświęcony „Dniom Legnicy". Pierwsza i trzecia nagroda przypadła w udziale p. Marianowi Szetelnickiemu, legniczaninowi z krwi i kości, jak najsilniej z Ziemią Legnicką związanemu. Drugą nagrodę i wyróżnienie uzyskał utalentowany plastyk p. J. Spuła.

Dużo było oklasków i gratulacji w uroczystym momencie wręczania nagród laureatom obu konkursów. Ale chyba najbardziej wzruszająca była chwila, gdy na podium jedna po drugiej wchodziły grupy uczniów podstawowych szkół legnickich, uczestników konkursu na rysunek tematycznie związany z ich rodzinnym miastem. Wystawę tych rysunków, świadczących o dużych zdolnościach i rzetelnym potraktowaniu tematu, oglądaliśmy ze szczerym podziwem i radością.

Wszystkim laureatom tych konkursów serdecznie gratulujemy.

REDAKCJA

ARKUSZ LITERACKI

COMIESIĘCZNY DODATEK „WIADOMOŚCI LEGNICKICH"

Nr 3 (27) Rok III — Marzec 1961 r

Anna Matuszczak

Powrót na swoje

(II nagroda w konkursie na opowiadanie; godło: „Marabut")

KRYSKOWA mocno zacięła blade, wąskie usta i z tą cienką, linią goryczy w poprzek szarej twarzy, milcząca i chmurna, od godziny krzątała się przy kuchni. Na męża i syna spoglądała rzadko, jakby się bała bezradnej złości jednego, a zaciętego uporu — drugiego.

— Taki to los — myślała, automatycznie mieszając w garnku ciemny żur, z rzadko pływającymi w nim pasemkami przysmażonej cebuli. — Póki to małe, od spódnicy go nie odczepisz, jak podrośnie — chce być najmądrzejszy na świecie. Żadnych rad nie słucha, żadnego uczucia nie ma. A przecież człowiek chce jak najlepiej... Całą wojnę bałam się o niego, a teraz, jak nareszcie można żyć po ludzku, bez strachu, razem — zostawia starych i leci...

— Poczekaj przynajmniej — niepewnie znów zaczął ojciec — czasy jeszcze takie... Żeby to gdzie bliżej, ale aż tam!

— Tata wciąż swoje — burknął Jarek niecierpliwie. — Czasy, czasy! Przecież już jest po wojnie. A na co ja mam właściwie czekać? Wojtek Chwaliszewski jedzie, Zygmunt Marciniak jedzie Stefan Kolędów już pojechał...

— Eee, tam! Ty zawsze tylko za kimś ciągniesz! Zawsze byłeś mydłek, ot co!

— Tata!...

— A, idź! Smarkacz jesteś i tyle. Stefan pojechał! Bohater! Stefan to obieżyświat. Ten zawsze coś wymyśli, zawsze w błoto wlezie. A ty co — domu nie masz? Z głodu zdychasz, czy co? Całą wojnę w rozsypce żyliśmy, a teraz, parę dni po wojnie, z domu uciekasz! Na Zachód! Pionier zasrany. Mało ci jeszcze szwabów, cholerników zatraconych?

— Nie jadę do żadnych szwabów, tylko....

— Już cie na tych zebraniach przekabacili, szkoda gadać!...

— Tata nic nie rozumie, Szymański mówił...

— No pewno, ja już nic nie rozumiem! Stary i głupi jestem. Niemcy w łeb bili, to i rozum wybili...

Kryskowa odstawiła żur na chłodniejszą płytę i twarz — teraz już różowszą od gorąca nad piecem — zwróciła w stronę mężczyzn. Spłowiałe rzęsy przy jej ciężkich pomarszczonych powiekach, drżały nerwowo.

Jarek miał nadąsaną minę, twarz z wypiekami oparł na zaciśniętej pięści, a drugą dłonią, dziecinnym jeszcze zwyczajem, rozgniatał resztki chleba na wytartej ceracie kuchennego stołu. Stary Kryska już nawet nie próbował hamować wciąż narastającego gniewu na tego upartego osła, któremu koledzy bliżsi niż rodzina, na tego smarkacza, tego powsinogę, tego...

Zacietrzewiony, w przerwach między gromkimi apelami do synowskich uczuć i rozumu Jarka, łapczywie zaciągał się śmierdzącą machorką w krótkiej fajce. Potem, już rozumiejąc, że nic nie wskóra, gwałtownie wstał od stołu, złapał czapkę z wieszaka i wypadł do sieni, trzasnąwszy drzwiami.

Kryskowa przeciągnęła dłońmi po zmęczonej twarzy i z wyrzutem spojrzała na syna.

— Jedz, Jarek — bezbarwnym głosem powiedziała wreszcie i postawiła przed nim talerz parującego, czosnkiem pachnącego żuru. Jutro może zrobię coś z mięsa, a dzisiaj już zjedźcie, co jest. Dwie godziny stałam w kolejce u Kebla, ale nic nie przyniosłam. Zanim doszłam do lady, Orłowska... Spłoszona szybko przerwała, ale po chwili kończyła: — ...wykupiła co było jeszcze do zjedzenia. Tej to dobrze było i jest. Dla niej zawsze się znajdzie. A stary Kebel aż się skręcał w ukłonach. Dość mam już tych kolejek i tych wielkich pań, co to wlezą ci przed nos i ani raczą przeprosić. Ważne! Przedtem — alles für Deutsche, teraz — wszystko dla pani aptekarzowej, dla pani doktorowej, dyrektorowej... A ty stój za byle ochłapem do garnka...

Jarek patrzył na matkę i uszom nie wierzył. Nie mówiła ze sztucznym patosem; „miasto twoich przodków!"; nie wypominała; „uciekasz od ludzi wśród których wyrosłeś!".

Nie. Ona była zwyczajną spracowaną kobietą, jedną z dziesięciu tysięcy kobiet w tym mieście, które wystawają przed sklepami z mięsem, kartoflami i kretonem, które kilka razy na tydzień gotują żytni żur, lub polewkę na maślance i krew je zalewa na widok kilku pań z tak zwanego towarzystwa, które nie wystawają, nie jedzą żuru i nawet już służące mają jak przed wojną. Jakże to tak?

— Toteż ja cały czas mówię — gorączkował się chłopak — po co się tu dusić? Tu nic nie ma luzem, wszystko już do kogoś należy. Kto miał przed wojną — teraz do tego wrócił, kto nie miał — to i nie ma, bo skąd weźmie?

— No, a ta parcelacja... — zaczęła znów matka. Chłopak jakby nie słyszał.

— Na Zachodzie wszystko jest, a bez ludzi pół zmarnieje. Ojciec się zawziął. Nie rozumiem, czego?...

Kryskowa w mig się zreflektowała. Wyżalając się przed synem, lała przecież wodę na jego młyn, a przeciwko Frankowi, mężowi, który nie chce dzieciaka puścić od siebie — tak jak i ona — w ten kotłujący jeszcze wir, w ten obcy i daleki świat. Jednocześnie jednak czuła, że jej wrogość do wyjazdowych planów Jarka zmienia się w cichą rezygnację, w dziwny spokój przeświadczenia, że już nic poradzić nie można. Jej bunt przeciw nieposłusznemu dziecku, zmienił się w bolesną dumę, w niejasne zdumienie, że to już nie dziecko, a przecie dorosły syn. Znała dobrze tego syna. Miał swoje widzimisię, jak każdy chłopak, uparty też był czasem, ale w gruncie dobry. Dotąd zawsze słuchał ją, chłopakom chwalił się ,że takiej rodziny jak on, nie ma żaden (podsłuchała kiedyś przypadkowo), ino teraz tak coś... Widocznie dorósł już ostatecznie, skoro tak się z domu wyrywa. Wiedziała, już dawno przeczuła, nie uświadamiając sobie tego wyraźnie, że kiedyś właśnie tak z nim będzie, że zechce pójść na swoje, żyć samodzielnie. Teraz dziwiła się tylko, że to stało się tak szybko i że odejść chce aż tak daleko od domu.

Jarek wyczuł, że z matką pójdzie mu łatwiej, niż z ojcem. Kochał ją bardzo Miał już 20 lat, a ona zawsze dotąd była przy nim. Kiedy był mały — podobno bardzo ciężki i tłusty — niezmordowanie nosiła go na rękach, kiedy zapłakał („bo jeszcze się dzieciak może zakrztusić, albo i udusić od tego płaczu") potem — przerabiała dla niego fartuszki i bluzki po starszej córeczce. Maszyny nie miała — i dzieciom wszystko szyła w ręku. Żeby mógł pójść do gimnazjum — brała pranie do domu. Wciąż się o swoich martwiła, dogadzała im jak mogła i tyrała bez przerwy. A on co? Ryczał po nocach, grymasił przy jedzeniu, nie chciał wycierać zasmarkanego nosa, buszował po podwórkach, jako wypacykowany i upierzony Indianin, uczył się — wcale nie najlepiej. Potem — zarejestrowany w Arbeitssamcie — układał na placu przy cementowni rury, bloki i słupy, odwalał z ekipą śnieg z torów kolejowych po zadymkach śnieżnych i trochę uczył się wieczorami na tajnych kompletach. Ale to wszystko robił dla siebie. A co zrobił dla niej, dla ojca?

Zamyślił się, Krvskowa zaś tłumaczyła coś znowu;

— Z ojcem ty się, Jarek nie kłóć. Sam wiesz, synku, jak to ciężko tak kogoś puścić z domu w nieznane...

— Mamo, mama wytłumaczy ojcu... — zaczął. — Przecież chcę coś robić. Czemu nie spróbować właśnie tam? Mama rozumie — ktoś tam też musi mieszkać. Zobaczy się — jak co, to mogę wrócić, No, nie? Za granicę przecież nie jadę, ani do piekła. Stefan pojechał i dobrze. Pojadę, rozejrzę się — zobaczyć zawsze warto jakiś kawał ziemi. A wy się tu nie macie czego bać.

— No... wiesz, ojcu to najwięcej chodzi o to... — mozolnie szukała odpowiedniego wyrazu — o to, żebyś ty się tam gdzie nie zaplątał... Tam się tak ludzie zjadą, nieznani, z różnych miast... Każdy na ten szaber leci, a wiesz — zdobycz jaką to i zabić można. W radio mówili, że tam jeszcze miny, nie daj Boże, nieszczęście jakie...

— Eee!... Szymański był we Wrocławiu, mówi, że żyć można. Wielu już pojechało. Z Kalisza — mówi — pojechał już transport — też gdzieś podobno pod Wrocław. A z Łodzi to już dawno wyjechała ekipa pocztowców. U nas też zwerbował Szymański czterdziestu, nawet dwóch z żonami. Za tydzień to pewno będzie jeszcze więcej.

— To kiedy?...

— Transport ma być zaraz po pierwszym.

— A kilometrów tam ile? Będzie z pięćset?...

— Eee, nie! Do Wrocławia z dwieście, a potem... koło pięćdziesiąt chyba.

— To ta Legnica... za Odrą jeszcze?

— Za Odrą.

— Daleko.

— Ale, mama wie, Szymański gdzieś się dowiedział, że tam jest bardzo dużo ogrodów. Mama — co jak co, ale ogród to ja ci już znajdę. Zobaczysz!

II

— Leje jeszcze?

— Leje...

— Cholera!

— A bo co?

— A nic. Tam była taka pogoda...

— To trzeba tam było zostać. Nikt cię na klęczkach nie błagał, żebyś wlazł do tej dziurawej budy i tyrlał się jak inni, Panicz!

— Odczep się, idioto! Z igły widły robisz. A w ogóle — coś ty taki ważny? Kolonizator z Pruślina, psiekrew!

Spojrzeli na siebie ostro — i nagle wybuchnęli śmiechem wesołym, serdecznym i młodym Zapalili papierosy.

— Jarek, odsuń tę dyktę z okna, bo duszno tu, że strach.

— Woda leci. Wykąpiesz się rano, ale w Odrze.

— Panie Szymański, a z tą Odrą jak jest właściwie? Mówią, że mostów nie ma...

— Nie bójcie się — dla nas jakaś kładka się znajdzie.

Kusy pociąg, zlepek najprzeróżniejszych typów wagonów — z chłodnią bez drzwi włącznie — pełzł, jak ciężka, napęczniała dżdżownica. W oknach bielała spaczona od wilgoci dykta, jaskrawiły się płyty blachy z resztkami kolorowych reklam i niemieckich napisów. Tu i ówdzie wagonom brakowało drzwi — zastąpionych obecnie deskami, kawałków dachu, podłóg.

Ludzie rozbijali się na grupki, oddzielone od siebie niskimi przepierzeniami przedziałów i jak umieli, skracali sobie czas długiej podróży, przesyconej potem, tytoniem i deszczem, który od kilkunastu godzin tłukł w ściany wagonów i wciskał się do wnętrza brudnych, niedopałkami zawalanych bud.

W przedniej części wagonu zebrali się karciarze, obok dwaj, prawie zupełnie już starzy mężczyźni, na przemian palili fajki, albo żuli ciemny, wiejski chleb ze słoniną. To ci chłopi ze Starej Kamienicy. Zgłosili się na wyjazd, ale z nikim nie chcieli gadać. Poważni, obcy i jakby wystraszeni, siedzieli od rana na drewnianych kuferkach i jeśli nie jedli, nie palili — milczeli, bez zainteresowania patrząc na unoszące się i opadające ręce karciarzy.

Wojtek Chwaliszewski wyciągnął z teczki organki i wygrywał na nich melodię o głupim malarzu co przegrał wojnę. Ktoś wybuchnął śmiechem, ktoś zaklął z uznaniem — i wnet śpiewał cały wagon. Od czasu do czasu w obieg puszczano flaszkę bimbru o słodkawym zapachu, śpiew huczał jeszcze głośniej, potem — milkła melodia i tylko głosy zderzały się z sobą nad przepierzeniami przedziałów.

...Ja tam, bracie, siedzieć nie myślę. Dzisiaj, to grunt coś mieć. Jak ja se, chłopie, najważniejsze narzędzia przewiozę do domu, to warsztat sobie urządzę na Kolejowej, że paluszki lizać!

(Ciąg dalszy na str. 2)

Powrót na swoje

(Ciąg dalszy ze str. 1/3)

— zwierzał się podchmielony Nowicki, mechanik z fabryki wagonów.

— A co za rozum, panie Nowicki, tachać z sobą żelastwo — dziwił się inżynień Grzesiecki, znany w mieście wesołek. — Mówię panu — do noszenia i przenoszenia nadają się tylko kobiety. Żonę pan przenieś do Lignicy. To lżejszy i przyjemniejszy towar, a droga jednakowa. Ulicę Kolejową chce pan koniecznie w Lignicy? Dobra! Już ja się tym zajmę.

— ...Zośka, mówię ci — pierdołków żadnych brać nie będziemy. Szkoda miejsca, ja tam chcę tylko ze trzy futra, dobrą pościel, biżuterię... — półgłosem zwierzała się swej towarzyszce Bielowa, sklepikarka z Raszkowskiej.

— Nic cię nie boli? Naprawdę, Basiu? Jak by ci się co miało stać, nigdy bym już sobie nie wybaczył, że cię usłuchałem i już teraz brałem z sobą — tłumaczył żonie, o zaokrąglonym brzuchu, Janek Stachura.

Przed pięcioma miesiącami, razem z frontem wrócił ze Wschodu, gdzieś spod Pierwomajska. Jako pomocnik maszynisty, zabrany został przez Niemców w połowie 44 roku i razem z transportem wojskowym powleczony pod Stalingrad. Uciekł, kiedy nadarzyła się wprost cudowna okazja do tego. Krył się kilka miesięcy wśród wieśniaków na Ukrainie i oto wrócił z porwrotem. Niestety — ojca zabrali Niemcy i nikt go już więcej nie ujrzał, żona, jeszcze młodziutka błąkała się wśród znajomych i jakoś dotrwała.

Objęci teraz mocno, myśleli o dziecku, które urodzi się na nowej ziemi, na której od nowa stanąć ma ich rodzinny dom.

— Nic mnie nie boli, Januszek. Bo i co ma mnie boleć? To dopiero cztery miesiące. A samego już ja cię nigdy, nigdzie od siebie nie puszczę! Bez ciebie, przy obcych — to nie było życie! — z resztą dawnego lęku na spoconej twarzy, odpowiadała Basia Stachurowa. — O, pan Wojtek znowu gra na organkach! Słuchaj!

Szymański schował do kieszeni jakąś niemiecką mapę komunikacyjną, odchylił w oknie przemokniętą tekturę i wyjrzał na świat. Był wyraźnie zadowolony. Tym razem obeszło się — przynajmniej dotąd — bez awantur i złodziejskich napadów na pociąg. Byle jeszcze tę noc szczęśliwie przejechać. Na dworze było ciemno i mokro, jak w zalanej piwnicy. Żadnego światełka na horyzoncie. Pociąg wlókł się z wysiłkiem i często zatrzymywał na stacjach. Na każdej z nich dosiadali nowi, żegnani głośnym płaczem i przestrogami odprowadzających ich współrodaków.

Według prowizorycznych obliczeń na mapie i bardzo mętnych informacji ogłupiałego konduktora, który nic właściwie nie wiedział, zbliżali się do Wąsosza.

Proszę państwa! — zawołał Szymański, zapalając jeszcze jedną świeczkę. — Jak dobrze pójdzie, to za jakie dwie godziny prawdopodobnie, będziemy w Ścinawie. Tam przesiadka. Proszę trzymać się grupy, bo w tym bałaganie łatwo się zgubić, może uda nam się rano złapać jaki pociąg do Lignicy.

— A to dej Boże, żeby już wyjść na powietrze i giry rozprostować — po raz pierwszy głośno powiedział jeden z wieśniaków. Drugi mruknął coś na ten sam temat.

W wagonie zrobił się ruch. Zaczęto w popłochu dopinać teczki i liche kuferki, jakby to nie za dwie godziny, a co najmniej za dwadzieścia minut przewidywano przesiadkę. Po paru minutach jednak, jednostajny, leniwy turkot kół podskakujących na spojeniach szyn, ciemność i gorący zaduch, zniechęciły wszystkich i uśpiły na nowo.

— Nie ma się co śpieszyć — powiedział Wojtek. — Coraz duszniej, cholera, wywalę te dyktę, niech mi lepiej na łeb pada, niż mam się dusić. Już mi oczy na wierzch wyłażą.

Jarek także szybko wystawił twarz pod strugi smagającej ulewy. Chłod i deszcz, który zwilżył im włosy — orzeźwił ich. Podniecenie, jakieś nieustające wewnętrzne napięcie i tak zresztą nie pozwalało im zasnąć. Na przeciwko nich spał — albo udawał, że śpi — inż. Grzesiecki, zmęczony wreszcie kawałami, które ku ogólnej uciesze opowiadał przez kilka godzin. Był on samą, niezmordowaną wesołością. Fakt ten dziwił zwłaszcza tych, którzy go znali i wiedzieli, że nie ma on słodkiego życia.

— Ty! — z cicha zagadnął Jarek — co taki Grzesiecki będzie tam robił? Architekt... myślisz, że tam się od razu będzie budować?

— A bo ja wiem! Co mnie tam zresztą obchodzi Grzesiecki — ja sam nie wiem, za co się wzmę. A ty?

— Ja, bracie, najpierw wynajdę jaki fajny dom, urządzę się, jak król, skombinuje sobie samochód — jakąś, bracie elegancką taksę i...

— „...i pojedziesz się pokazać Krysi, już wiem. To mi, kolego wystarczy za odpowiedź. Jedziecie po samochód, żeby Krysia Orłowska widziała, żeście nie gorsi od jej tatuńcia i swój rozum macie — dobrodusznie kpił Wojtek, naśladując sposób mówienia Szymańskiego. — Kolego... — zaczął znowu, ale Jarek, zły z powodu aluzji dotyczącej jego sercowego niepowodzenia, przerwał mu szybko;

— Co tu gadać o robocie. Zobaczy się na miejscu. Ostatecznie, mogę dalej pracować w cementowni. Rury układać umiem.

Roześmiali się.

— A Zygmunt stchórzył jednak. Taki był ważny i został na dupie.

— To niech se na niej siedzi. A swoją drogą, ciekaw jestem, jak to tam wszystko wygląda?

— Panie — spytał ktoś nagle zza półścianki. — Panie, a która teraz godzina?

Poznali głos jednego z wieśniaków.

— Niedługo jedenasta, dziadku — powiedział Jarek. — A bo co?

— A, bo giry by już trza rozprostować!

— Niedługo przesiadka, to se rozprostujecie.

— Ano.

— A cl dwaj po co jadą, nie wiesz? — cicho zapytał Jarek.

— Na swoje, powiadają. Słyszałem, jak jeszcze u nas gadali z Szymańskim. Jeden mówił: — „Panie, całe życie u kogoś robiłem, to choć na stare lata na swoje pójdę". Ten drugi, to jego sąsiad. Mówili, że się rozejrzą, zgarną co na dorobek, na chów — i ściągną rodziny.

— Ja też swoich starych ściągnę — stanowczym, pewnym głosem powiedział Jarek.

— No kolego... — zaczął znowu swoje kpinki Wojtek — widzę, że nie tylko po samochód dla Krysi jedziecie. To mnie cieszy.

— Pleciesz dzisiaj Wojtek, jak jaki głupi. Spać mi się, psiakrew zachciało! Jak tak się będziemy wlekli, to do tej przesiadki zdążę się przespać.

W wagonie było cicho — jeśli oczywiście, wyłączyć głośne chrapanie kilku, co większych bimbrowych smakoszów.

Za ścianami pociągu pęczniała od deszczu noc. Pięćdziesiąta piąta noc po wojnie.

III

Upał był taki, że powietrze drgało, a taka dziwna w nim suchość — że zdawało się — lada chwila wyschnie płytkowodna Kaebacha, a jakiś nieostrożny, gorący oddech — podpali rozprażone miasto.

Ludzie zeszli z torów i porozłazili się szukając cienia. Drzew nie było, a z otwartych bram kamienic, miast chłodem, wiało stęchlizną, lub przykrym fetorem brudu, spalonego pierza i papieru. Najodpowiedniejszym miejscem do popołudniowego odpoczynku była kupa gruzu i rupieci, pozostałości ulicznej barykady. Obok rumowiska leżał przewrócony na bok stary tramwaj, rzucający wąski pas upragnionego cienia.

Usadowiwszy się wygodnie na jakimś brudnym materacu, porzuconym pewno przez szabrownika, Jarek wyciągnął z teczki dwie pajdy chleba i butelkę wody z sokiem.

— Kryska, na Koiszwicką nie idziesz? — Spytał jeden z robotników, siadając na stojącej w poprzek ulicy parkowej ławce.

Kilka męskich sylwetek leniwie wlokło się w dół ulicy, w kierunku placu targowego, przez który najbliżej było na Koischwitzerstrasse, przy której mieściła się obskurna tramwajarska stołówka.

— Po co? Taki gorąc, a tam pewno znowu sine pyrki i sos z mąki. Tym się można na amen zaklajstrować, a tu człowiek i tak ledwo żyje. Co za upał, cholera, a przecież to już koniec sierpnia.

— Wie Pan — zwierzał się jeszcze jeden z robotników, młodziutki chłopaczek — ja bym się tak napił kwaśnego mleka, takiego co to aż w język szczypie. Żeby to kiedy w tej naszej stołówce...

— Marzyciel! — zbył go krótko Jarek i zabrał się do jedzenia chleba.

Inni żuli jabłka, nagrzane śliwki, rzadziej chleb z pomidorem. Koło drugiej przyszedł kierownik i zastał swych ludzi śpiących smacznie na rumowisku barykady. Nie dziwił się wcale — tak właśnie wyglądała tu praca. Nieliczni tylko spośród przyszłych motorniczych, kierowców i kontrolerów, przykładali się do niej uczciwie. Większość przychodziła do roboty kiedy chciała i odchodziła według własnego uznania. Mieli ważniejsze rzeczy na głowie. Co tam stare dryndy powywracane na ulicy, lub rozsypujące się ze starości w remizie. Plądrowanie mieszkań i sklepów było zajęciem atrakcyjniejszym i korzystniejszym. No, ale magistrat kosym okiem patrzył na niezatrudnionych, więc każdy czegoś się łapał. Komunikacja była potrzebna, to fakt. Planowano bodaj jeden wóz tramwajowy na linię, ale najpierw trzeba było uporządkować zawalone gruzami ulice.

— Gdzie reszta? — spytał kierownik Jarka, siedzącego najbliżej.

— Poszli na obiad.

— I jak zwykle, już nie wrócili.

— Tak wygląda. Wie pan — szlag mnie już trafia! Albo robimy, albo siedzimy w domu. Ja sam za wszystkich robił nie będę, a muszę w końcu coś zarobić. Żreć trzeba, a tu, w Lignicy, wszystko można znaleźć oprócz złotych polskich. Jak tak dalej pójdzie, to rzucę tę robotę w diabły. Co pan myśli, że ja przyjechałem się opalać? Jak nie zorganizujecie lepiej roboty, to...

— Czego się żołądkujecie, Kryska? — kierownik był człowiekiem poczciwym, chętnym do pracy i pełnym zapału, ale bezradnym wobec elementu, którym mu przyszło kierować. Właściwie, to ten Kryska jest pierwszym, który mówi wprost, że chce pracować.

— Jak by się dobrze wziąć do roboty, to za jaki miesiąc można by wozy puścić. Nareszcie poszedłby won ten nieszczęsny traktor, wożący ludzi do miasta z peryferii. Ci przy dworcu jakoś lepiej pracują, jak chcecie, możecie się przenieść do tamtej grupy. Potrzebują tam jakiegoś energicznego człowieka do prowadzenia roboty. Chcecie?

— Mnie tam wszystko jedno gdzie, ale jak robić to robić. Mogę tam iść...

— To od jutra.

— Dobra.

Nie było już co robić tego dnia. Grupa ludzi rozlazła się do swoich domowo-organizacyjnych spraw. Jarek wziął teczkę i też ruszył przed siebie. Przed wieczorem miał się spotkać z Wojtkiem u Janczaka i Pajestki na Piekarach. Na ulicach było coraz duszniej, choć powolny napływ chmur na ciemniejący błękit nieba, wróżył zmianę pogody, w każdym razie — burzę.

*

Obaj gospodarze urządzili się na Piekarach całkiem przyzwoicie. Czując pod nogami dobrą do uprawy ziemię, widząc sprzęt w stodole i na podwórkach, poczuli się panami sytuacji i zmienili do niepoznania. Gdzieś się zapodziała ich niepewność z podróży, sztywność i milcząca rezerwa.

— Chłop musi stać na ziemi — wtedy wie, że żyje — tłumaczył Pajestka.

Coś nawet jakby odmłodnieli. Okazało się zresztą, że mają dopiero po czterdziestce. Krzątając się po swoich obejściach, znosząc z sąsiednich wolnych jeszcze gospodarstw potrzebny sprzęt i urządzenia gospodarcze, z poznańską skrupulatnością organizowali swe nowe życie. Każdy garnek, wanna do prania, łopata, czy brona, były powodem ich zadowolenia i dumy. Janczak przyprowadził nawet bezpańskiego psa. Wtedy Pajestka nie wytrzymał i tak długo chodził po okolicy, aż przyprowadził skądś kozę. Prześcigali się w pomysłach organizatorskich. Mieli jednak i zmartwienia — nawet poważne. Były nimi; brak dostatecznej ilości ziarna na siew jesienny, brak bydła — no i rodzin. Po jednej na razie krowie i coś z trzody chlewnej mieli lada dzień otrzymać z Zarządu Majątków Miejskich, w których zakotwiczył się ich przewodnik i troskliwy opiekun — Szymański. Kilka kur kupili od sąsiadów Niemców, a trzy kaczki, od sąsiadów zza Buga, którzy przyjechali wcześniej niż oni.

— Żeby tak jeszcze baby i dzieciaki przyjechały, to by się obejście i dom wysprzątało i wszystko przysposobiło, jak należy — mówili.

Wzdychali smętnie i codziennie pilnie wypytywali znajomych o wieści z tamtej strony Odry, a zwłaszcza o okolice nad Prosną. Co tydzień przyjeżdżali nowi osadnicy, a Janczak i Pajestka witali ich na placyku przed Domem Ludowym, jak starzy, zadomowieni od lat gospodarze. Tak się jakoś złożyło, że grupa Szymańskiego trzymała się razem. Początkowo, jakoś obco czuli się wśród cwaniackich warszawiaków i ludzi ze Wschodu, śpiewnymi głosami pytających w koło:

— A wy skąd przyjechali? A Pieresuchy wy znali?

Wschodniacy nieufnie patrzyli na poznaniaków, katowiczan, czy łodzian, ci z kolei na nich. Każda grupa skupiała raczej współziomków, z którymi się można było nagadać, nawspominać, dowiedzieć się czego o znajomych, o rodzinnych stronach. Po pewnym czasie jednak, wewnątrzgrupowe tematy zaczęły się wyczerpywać, rosło natomiast zainteresowanie międzygrupowe.

Byli mieszkańcy Starej Kamienicy bardzo szybko i łatwo dogadywali się z całą ludnością, dość jeszcze rzadko zaludnionych Piekar. Wieczorami przyjmowali u siebie sąsiadów, na karty lub wódkę, sami także w gości chodzili.

Stałymi bywalcami w ich domach, stojących po sąsiedzku, przez podwórzowy plotek, byli Jarek i Wojtek, często zaglądał nadal opiekuńczy Szymański i inżynier Grzesiecki, który w tej niemrawej dwójce, jaką znał dawniej, rozpoznał teraz chłopków-roztropków, mogących niejednego cwaniaka w kozi róg zapędzić. Dobrze było z nimi się pośmiać przy szklaneczce wódki, lub domowego wina, którego zapas gospodarze znaleźli w swoich piwnicach. Poza tym — łączyła z nimi Grzesieckiego jeszcze jedna sprawa; starokamieniczanie chcieli sprowadzić rodziny, a on swoje trzy małoletnie córki, przebywające tymczasowo u jakichś zakonnic w poznańskim. Na Piekarach więc pisano wspólnym wysiłkiem listy i wręczano je Wojtkowi, listonoszowi jedynego urzędu pocztowego, na Wrocławskiej. Listy pisali zresztą wszyscy, a Wojtek wyłapywał najróżniejsze okazje, aby z Lignicy pchnąć je dalej: samolotem radzieckim kursującym między Lignicą i Wrocławiem, samochodami służbowymi i prywatnymi — zresztą czym i jak tylko się dało. Gorzej było z pocztą stamtąd. Listy utykały jakoś po drodze, spóźniały się, nie trafiały pod właściwe adresy. Bo też adresaci w Lignicy kręcili się, niczym przysłowiowe koty z pęcherzami. Przeprowadzali się po kilka razy na tydzień, wciąż szukali czegoś odpowiedniejszego, jedni drugim włazili w paradę.

Ot, na przykład, jak było z Jarkiem i Wojtkiem; Szymański poradził im, Staruchom i jeszcze dwom — budynek przy Immelmanstrasse (późniejsza Długa). Po dwóch dniach Staruchowie poszukali sobie innego locum, reszta też się tu jakoś nie zadomowiła, a chłopaki woleli spać u Janczaka, lub Pajestki, gdy się u nich zasiedzieli wieczorem. Chodzenie po mieście w nocy nie należało do przyjemności, ani do bezpiecznych spacerów.

Któregoś dnia, w swoim mieszkaniu zastali nowych lokatorów. Pogawędzili z nimi — i beztrosko poszli szukać czegoś nowego. Odtąd — spotkania z dzikimi lokatorami odbywały się często. Były to przeważnie rodziny, więc oni, jako samotni — rezygnowali ze sporów i zajmowali wciąż nowe apartamenta. Kłócić się nie było zresztą o co, bo mieszkań nie brakowało. Bywało, że gdy wracali z pracy, włóczęgi po mieście lub z Piekar, locum nie było zajęte, ale za to ogołocone z wszystkich co wartościowszych przedmiotów i mebli.

Jak tak dalej pójdzie, do niczego nie dojdziemy i dziadami zostaniemy na starość — denerwował się Wojtek. — Jeden musi w ciągu dnia pilnować chałupy. Nie ma rady. Poszukajmy jeszcze raz co poczciwego, a potem — koniec z przeprowadzkami!

(Dokończenie na str. 7)

Na długo przed mongolskim najazdem poprzedziły go wieści, jak liście, które niesie wichura, poprzedniczka burzy. Wieści zrazu przesadzone, niewiarogodne, dziwaczne. O tym narodzie słusznie „Tartari" miano noszącym, gdyż z czeluści piekieł się wydobył, gdyż moc ludzka przeciwstawić mu się nie jest zdolna. W miarę przybliżania się fali najazdu wieści były coraz dokładniejsze, acz niemniej przerażające. Oto sąsiad Polski dobrze znany w wojnie i pokoju, Ruś ogromna, potężna i bogata w grody warowne — uległa w trzy lata Mongołom mimo dzielnej obrony. Gdy w grudniu 1240 roku padł Kijów po zażartej walce — groza najazdu stała się oczywistą. Wiadomo już było od uchodźców jaki to wróg: że nie obroni przed nim ani kasztel warowny, ani znak krzyża świętego, ani nie wykupi sakwa złota. Że morduje okrutnie wszystkich, na wiek, płeć, ani na stan nie uważając. Że jedynie rzemieślników i młodzież nieliczną, wybraną w jassyr bierze czyli w niewolę od śmierci nie lepszą. Że niszczy, rabuje i pali wszystko, szczerą pustynię zostawiając.

Nie Polska jednak, nie Zachód były celem najazdu wojsk mongolskiego imperium, lecz Węgry, piękna dolina Pannonii od wieków nęcąca koczownicze ludy Wschodu. Część tylko mniejszą swych sił pchnął ku Polsce Batu Chan pogromca Rusi — sam skręcając z Wołynia ku Węgrom. Bajdar syn Dżagataja pójdzie na Polskę i Czechy z trzema tumenami — 30 tysiącami wojowników. Ma rozgromić i obezwładnić te kraje, uniemożliwić wszelką próbę zbrojnej pomocy Węgrom.

Jeszcze nie ucichł szczęk broni na Rusi Halicko-Wołyńskiej, gdy przez Bug przeprawiły się pierwsze silne podjazdy tatarskie, wysłane w głębokie rozpoznania. Wilczą modą, milczkiem, nocami ruszyły na zachód zastępy skośnookich jeźdźców na kudłatych stepowych konikach, które drobiąc niezmordowanym skroczem — nie stępo nie truchtem — pokonywały ogromne odległości.

Rozbita na odrębne dzielnice Polska nie zdobyła się na obronę swych wschodnich granic. Pierwszy zwiadowczy zagon tatarski pali Lublin, potem, unikając większych grodów, przecina całą Polskę, podjazdami dociera aż pod Racibórz. W lutym 1241 roku drugi zagon, znacznie silniejszy zdobywa Sandomierz, Zawichost, Wiślicę, Skalmierz. Już polskie niebo co noc pali się łunami, polska krew tryska spod jataganów. Pod Turskiem nad Wisłą, Tatarzy spotykają pierwszy oddział sandomierskiego rycerstwa. W zażartej potyczce udaje się Polakom odbić prowadzony jassyr, lecz bitwę przegrywają.

Właściwa inwazja Bajdara rozpoczyna się około 10 marca. Dochodzi do Wisły, stąd wysyła chana Kaidu z jednym tumenem w daleki zagon, który sięgnie okolic Piotrkowa, Łęczycy. Sam Bajdar ruszy na Kraków. Zastąpią mu drogę pod Chmielnikiem wojewodowie Włodzimierz krakowski i Pakosław sandomierski z rycerstwem. Górujące sprawnością hezzary czyli pułki tatarskie odniosą druzgocące zwycięstwo oszukując Polaków pozorowaną ucieczką i otaczając ich skrzydła. Końcem marca obaj chanowie łączą się w spalonym Krakowie. Baidar śpieszy na zachód, na Śląsk, chce jak najprędzej skoczyć do gardła najgroźniejszemu przeciwnikowi.

Na Śląsk obrócone już były oczy nie tylko Polski, lecz całej strwożonej Europy.

Jedynie Henryk II książę śląski mógł jeszcze przeciwstawić się skutecznie najazdowi. Jedynie on miał po temu autorytet, zasoby, czas na przygotowanie obrony. Henryk, pan obszarów sięgających po Kwisę na zachodzie i po Noteć na północy, którego ojciec już pisał się: „Dux Silesiae, Poloniae et Cracoviae" i zamierzał koronować syna na króla polskiego.

Książę Henryk gotował się.

Po całej bogatej i ludnej ziemi śląskiej dymiły piece hutnicze, dzwoniły młoty kowalskie. Pod surowym nadzorem książęcych nastawników trudziły się rzesze płatnerzy, szczytników, grotników, kołodziejów, siodlarzy. W puszczach myśliwcy-narocznicy sami do leśnego zwierza podobni — szyli z łuków w gęstwiny, ćwiartowali, wędzili polcie turze, jelenie, dzicze.

We wrocławskiej książęcej kancelarii uczeni księża wypisywali kunsztowne epistoły. Dzień i noc na zamkowym dziedzińcu biły w bruk kopytami posiodłane konie. Coraz to któryś z gońców wypadał pełnym cwałem, ślizgy krzesząc — na zachód. Do papieża, do książąt i panów chrześcijańskich, do pobratymców czeskich. Z wezwaniami na nową krucjatę. Lecz skłócona Europa nie odpowiedziała na apel. Zamiast potężnych armii — napływać zaczęli pojedynczy ochotnicy. Krzyżowcy, dobrzy rycerze — dla szczytnej walki z wrogami chrześcijaństwa. I inni, niespokojne duchy, gotowe zawsze karku nadstawić gdzie się bija.

Aż nadeszły dni, gdy zgęstniały fale przerażonych uchodźców, gdyż już oko dojrzało dalekie łuny na wschodzie. Wtedy nowa, liczniejsza garść gońców sypnęła się z książęcej siedziby. We wszystkie strony, Wici!

Gdzie tylko nadleciał koń płatami piany miotający, a jeździec prasnął o ziem wieniec z wicin, wiosenną bazią strzelających, — tam wybuchał płacz niewiast. czeladź rzucała się do koni, rycerz oręż ze ściany zdejmował, a chłop maczugę lub topór z kąta wyciągał.

Na wezwanie owych wici ściągali do wyznaczonych miejsc Ślązacy. Stanęli do jednego rycerza z pocztami i czeladzią, zarówno Polacy, jak i Niemcy hojnymi książęcymi nadaniami na Śląsk znęceni. Stanęły drużyny zaciężne książęcych kuszników. Stanęły chłopskie piechoty, owi „milites gregarii" zobowiązani do obrony kraju. Przybyły oddziały zakonów rycerskich, Templariuszy, Joannitów, Krzyżaków, wykonujące powinność świadczeń rycerskich z tytułu dóbr posiadanych na Śląsku.

Ze szwagrem Wacławem czeskim zawarł książę układ. Czesi w decydującym momencie w Śląsk wejdą. Oni od południa. Polacy od północy — w kleszcze uchwycą najezdnika, jak dwa zgrane psy-stróże biorą wilka rabusia.

A najeźdźca zbliżał się niczym nieuchronna niszczycielska chmura szarańczy. Odgryzały mu się wojska Władysława Opolczyka, broniły przepraw przez Odrę. Skrwawione, odrzucone dołączyły do Henryka, jako ostatnie jego posiłki: Opolanie z księciem Mieszkiem Henrykowym krewniakiem i niedobitki rycerstwa małopolskego.

*

Jest w Legnicy, kasztelańskim grodzie, zamek murowany, ogromny nad podziw. Zbudowano go niedawno, na Księcia Brodacza rozkazanie. W całej Polsce nie znajdzie się drugi tak potężny. Dwie baszty wysokie go strzegą z dwóch stron. Jedna pod wezwaniem świętego Piotra, opiekuna grodu legnickiego, druga nazwana imieniem Jadwigi, na cześć Brodaczowej małżonki, trzebnickiej abatyssy. Między nimi wznosi się pallatium tak wielkie, że ludziska gęby rozwierają dziwując się na co też księciu zamczysko tak ogromne.

W sklepionej, wielkiej sali kasztelu trwa narada wojenna. Rozstawione straże pilnują, by szum grodu, pełnego rycerstwa i ludu nie przeszkadzał obradom starszyzny. Blask pochodni migoce po twarzach mężów, poważnych, skupionych.

W podwyższonym krześle siedzi Henryk, drugi tego imienia, zwany Pobożnym, pan ziemi śląskiej, krakowskiej, poznańskiej, lubuskiej. Twarz ma szczupłą, lecz oczy w niej gorejące ogniem. Po prawicy jego zasiada, nie dla zacności osoby, jeno krwi królewskiej Piastów, Mieszko, książę Opolski, młody tłuścioch o zniewieściałej, znudzonej twarzy. Po lewej Henryka zasiada Bolko Dypoldowic, margrat morawski, zwany Szepiołką dla sepleniacej mowy. Dalej wojewodowie, kasztelany, komtury zakonne, co znaczniejsi goście — krzyżowcy.

Książę rzecz trzyma. Tłumaczy zebranym dlaczego pozostawił na pastwę poganom dobre miasto Wrocław, miłą sercu stolicę, dlaczego nie stanął przed nią murem piersi rycerskich. Z trzech powodów wybrał Legnicę na swą siedzibę dowódczą. Primo, że acz słaba, była wszelako nadzieja iż Tatarzyn, miasto Wrocław nie bronione oszczędzi, przejdzie może przezeń, nie niszcząc całkowicie, jako bywało, w boju natomiast czekałaby miasto zagłada nieuchronna. Nadzieja ta płonną się okazała, wróg spalił Wrocław i idzie ku Legnicy. Secundo że Legnica bliżej jest dziedzin wielkopolskich, z których posiłki są oczekiwane. Tertio, że żaden inny gród tak silny nie jest i tak warowny, a przy tym tak obszerny, wielkie wojsko pomieścić mogący, jak właśnie Legnica.

Głos bierze Sulisław, brat poległego pod Chmielnikiem wojewody Włodzimierza. Ten który przywiódł Henrykowi ocalałe z pogromu resztki rycerstwa krakowskiego i sandomierskiego. Słuchają go uważnie. Wykłada szeroko, dobitnie, że aczkolwiek plugawcy pogańscy z całą pewnością z mocami piekielnymi są w zmowie, wszelako ludzką, choć szpetną, mają postać i naturę, i miecz, zwłaszcza poświęcany, żywota ich pozbawia. Zaklina księcia, by do boju z nimi występując, kazał szeregi ścisnąć i ławą gęstą naprzód iść, a nie ćać szyku rozerwać ni ogarnąć.

Pogardliwie lekceważąco patrzą na mówcę rycerze Zachodu. Ten słowiański pół-lunieć z konopiastym wąsem będzie ich uczył sztuki wojennej! Żywo do księcia zagadują po niemiecku. Henryk po namyśle wydaje wyrok: nie godzi się, by dziki poganin narzucał swe sposoby dobremu rycerstwu. Pójdą walczyć jak przystoi — w uszykowaniu obrzędnim „w płot" — każdy rycerz na czele swego pocztu i czeladzi — każdy od sąsiedniego na długość kopii oddalony, by sobie wzajem nie przeszkadzać. I dalej książe: że wroga spotkają na Dobrym Polu o pół mili od grodu, między Koskowicami a Ujazdem. Nie chce pod samym miastem bitwy wydawać, by bliskość warownego zamku za plecami nie ujmowała ducha walczącym, nie za daleko też od grodu,

by w razie porażki mogło wojsko do kasztelu się schronić. Krótkie, wyraźne wydaje ostatnie rozkazy dowódcom hufców, wyznacza godzinę pobudki. Żegna zebranych, życząc by im Zbawiciel sen krzepiący i spokojny zesłał w ową noc przedbitewną. Wstaje i wychodzi z kapelanem. Niektórzy udają się również na spoczynek, inni, a pierwszy Mieszko Opolski, — wołają o miód, o wino, o kości.

★

Jeszcze pobrzask dnia nie zwalczył świec jarzących się w kościele Panny Marii, gdy rycerstwo tłumnie napełniło świątynię. Księcia postać widniała przed ołtarzem od ciemka już się modlił, trzeciej mszy słuchał na klęczkach. Pobożny był, pod tym imieniem przeszedł do potomności ów syn świątobliwej Jadwigi, która dni swych dożyła w trzebnickim klasztorze „in odore sanctitatis". Pobożny był, lecz wcale nie potulny, z papiestwem o władzę walczący, klątwą karany. Teraz modli się żarliwie, a rycerze śpiewają nabożnie, z niecierpliwości przestępując z nogi na nogę. Donośne rżenie zzewnątrz raz po raz głuszy kościelne pienia. To bojowe ogiery rycerzy pełne wigoru biją wściekle kopytami, tocząc wkoło krwią nabiegłym okiem.

Henryk wstał z klęczek i z brzękiem ostróg poszedł szpalerem rycerstwa ku wyjściu. Na jego bladą, zmęczoną twarz wracały zwolna

konnych więcej niż pięć tysięcy. Cudzoziemcy na skrzydłach stali, nie było ich nad półtora tysiąca wszystkich: Niemców, Morawian, Francuzów. Różnorakie były wojska Henrykowe, różnorako też uzbrojone. W pierwszym szeregu stali dobrzy rycerze, panowie feudalni nikomu nie ustąpiliby pierwszeństwa w starciu z wrogiem. Na rosłych, ciężkich koniach, które za przykładem Zachodu hodowano już na łęgach dolnośląskich, siedzieli mężowie w zbroje odziani. Przeważnie mieli na sobie zbroje kolcze całkowite, czyli kaftany i nogawice z drobnych żelaznych kółek na kształt siatki uplecione. Na głowach hełmy zachodnie, garnki żelazne ze szparami jeno na oczy, lub słowiańskie, stożkowe, lica nie zakrywające. W ręku dzierżył rycerz kopię z proporcem o herbowych znakach, na lewym miał tarcze, a u boku miecz święty rycerski, drugi i obosieczny. W drugim szeregu stali pomniejsi rycerze, od pana zależni szlachcice krewniaki, giermki, włodyki. W trzecim konna czeladź, a dalej piesza służba rycerza. Im dalej do tyłu, tym słabsze było uzbrojenie, więc pancerze łuskowe, a nawet starodawne skórzane ćwiekami nabijane, a u pieszych już tylko siermięga przepasana i topór w garści, sulica lub maczuga.

Huczał, rozbrzmiewał gwarem groźny szyk pięciu hufców Henrykowych na Dobrym Polu. Polatywały nad nim pieśni, wybuchały okrzyki i klątwy, niosło się rżenie koni, głos trąb i rogów — tumult przedbitewny ochoczego ludu. Aż ujrzano, jak od wzgórz odległych kopnęły się ku swoim, co duchu w szkapach czujki w zaroślach rozstawione, — do księcia, że już idą, że tylko patrzeć! I wtedy na krótko, na chwilę przycichła jakby, zmilkła wrzawa. Jakby się w tej chwili każdy z wojowników ze swymi pożegnał, ogarnął troskliwą myślą małżonkę — przyjaciela dobrego, dziecko płowowłose, czy sercu najbliższą dziewczynę. Bo te myśli odrzucić trzeba zaraz, precz odepchnąć, by nie przeszkadzały. By nie omdlało od nich serce w boju z wrogiem okrutnym, który pół świata pono zwojował.

Kapelan książęcy stanął w strzemionach i wysoko podniósł krucyfiks, kłaniając go w obie strony. Henryk, drugi tego imienia, Brodaczów syn — przeżegnał się szeroko znakiem krzyża świętego i skinął, by mu podano hełm. Włożył go na głowę i ozdobny, wysoki grzebień z pawich piór, z dala widoczny, poruszać się jął lekko od wiosennego wietrzyka, jak poruszała się nad nim piastowska stanica z królewskim, białym, orłem. Trąby i rogi bitewne zabrzmiały chrapliwie, groźnie.

A wróg spłynął falą z pagórków tak cicho i nieznacznie, że trzeba było przetrzeć oczy zdumione, by rozpoznać, że to nie pola się ruszają, lecz masy szaro-burych jeźdźców. Stanęły tumeny tatarskie na dwa strzelenia z łuku od chrześcijan, w trzech kolumnach głęboko do tyłu uszykowanych — między hufcami tymi rzekłbyś ulice, po których jezdni tam i nazad latają. Czwarty huf odwodowy daleko w tyle na wzgórzu, i przy nim chan Bajdar, Dżagatajów syn pod trzema buńczukami. Płynie w nim cenna krew Dżingischana, jako i w obu dowódcach tumenów, chanach Kaiću i Ordu, braciach Batuchana.

Stepowy koń chana stoi nieruchomo, wparty mocno w ziemię czterema krótkimi, muskularnymi nogami. Wie, że drgnąć mu nie wolno. Jest tak samo zdyscyplinowany, jak każdy z dowódców, czy przybocznych gońców, którzy przypadają co chwilę i odebrawszy skinienie lub rozkaz, znikają szybcy jak myśl. Wiedzą, że każdego z nich, za najlżejsze uchybienie schwycą straszliwe ręce przybocznych siepaczy i w oczach chana uduszą cięciwą z łuku. Żelazna karność czyni z tej hordy półdzikich, żądnych krwi nomaców, narzędzie wojny tak sprawne, że nie oparły mu się na niezmierzonych obszarach Azji ludy Ujgurów, Chińczyków, Chorezm-szachów, Armeńczyków. Gruzinów, Polowców. Toteż w nieodgadnionym, chłodnym wzroku mongolskiego wodza nie ma niepewności. Ulegną ci, co tam stoją naprzeciw. Jak musi ulec tłoś obskoczony w stepie przez stado głodnych wilków.

Mongolów więcej było niż chrześcijan, choć trzy tumeny Bajdara wykruszyły się mocno w stumilowym marszu i morderczych bojach. Niektóre hezzary zamiast dziesięciu omów, czyli secin, zaledwie po pięć liczyły. Skośnooki, krępy lud mongolski, różnił się od Słowian tak, jakby z innego pochodził świata. Futrzane czapy, watowane tuluby, futrzane, włosem na wierzch serdaki, pilśniowe obuwie. Poniektóry tylko pancerz ma ze skóry prażonej, a zaledwie parę hezzarów ciężkiej przybocznej jazdy odzianych jest w zbroje wschodnie łuskowe i małe okrągłe hełmy. Wojownik każdy ma łuk i kołczan pełen strzał, szablę krzywą i jatagan u pasa. Wielu po dwa łuki posiada, jeden lekki do strzału z konia, drugi ogromny do walki pieszej. Łuk taki, o cięciwie z jelit baranich grubości małego palca niewiasty, napięty przez silnego męża wypuszcza strzałę, która człeka na wylot przeszyje i zbroją kolczą ni szczyt pośledniejszy przed nią nie uchroni.

Na znak chana zakołysały się buńczuki nad skrzydłowymi hezzarami, zapiskały kościane gwizdki setników. Długogrzywe, kosmate szkapięta ruszyły z miejsca w ścigły cwał — przed hufce Henrykowe skoczyła ława harcowników, miotając w biegu chmurę strzał. Już się niejeden rycerz za bok chwycił i z siodła osunął, niejeden koń wspiął się i runął ciężko na ziemię. Lecz jeźdźcy mongolscy nie

lotne watahy — poszły w ruch kilofy, drągi, maczugi. Nieustępliwe męstwo licho zbrojnych, w parcianki odzianych musiało ustąpić zimnej, umiejętnej taktyce. Baczne oko dowódcy czuwało nad bezładnymi na pozór szarżami — w każdą lukę czworoboku wciskał się natychmiast klin kosookich jeźdźców, rozszerzał wyrwę. Niewiele czasu minęło gdy piechota porozbijana na drobne oddziałki broniła się rozpaczliwie, topniała w oczach. Ponure górniki zwarły się po kilku plecami do się i prały zawzięcie kilofami rozwalając czerepy i obalając konie, w głuchym milczeniu, stękając jeno w zamachu jak u siebie, w sztolni. Książę obiecał im, biednym przypisańcom, że wolę otrzyma ten co się w boju odznaczy, a wszystkim byt przyrzekł poprawić, zrównać z przybyszami z Zachodu, których przywileje z dawna piekły naszych jak wrzody. Teraz widzieli już, że im ta wola chyba od Pana Jezu-Krysta albo od świętego Pietra w raju pisana, — więc tylko drogo sprzedawali życie.

Rozbite rycerstwo konne obu skrajnych hufców ustępować poczęło, cofać się ku swoim. Poległ zduszony arkanem, rozsiekany, margraf morawski zwany Szepiolką dla zająkliwej, syczącej mowy. Cofnął się ciężko ranny komtur Poppon, Chłopskie i górnicze piechoty nie cofnęły się, choć wiedziały, że nie o nich pieśni będą śpiewać trubadurzy. Otoczone wyginęły do nogi, broniąc się zajadle do ostatka. Książę Henryk wyraził podziw dla męstwa onych prostaków, lecz nie biadano zbyt długo nad stratą tych ludzi, jako że byli stanu nikczemnego. Nie pierwszy to raz w historii krew chłopska obficie zrosiła ziemię ojczystą. Lecz pierwszy raz pod Legnicą zmieszała się z nią krew górników. Widać potrzebna była pod zasiew, dla dalekich, nieprzeczuwanych zborów — pod Lenę, pod hutę legnicką, pod lubińskie zagłębie.

Gdy skrajne hufce polskie toczyły bój na skrzydłach — centrum stało nieporuszone, bezczynne. Co gorętsi rycerze kląc potrząsali bronią i toczyli wokół rozognionymi końmi — lecz woczowie stać w miejscu kazali, zaszachowani nieodgadnioną, milczącą masą przeciwnika. Gdy dołączyło rycerstwo z rozbitych hufców, mongolska jazda w pościgu dotarła pod szyki Henrykowe i harcową modą latała przed szeregami, sypiąc gęsto z łuków. Ruszą na nich Małopolanie i Opolczyki, lecz książę wie już, że nie należy lekkomyślnie rycerstwa do przodu wypuszczać, więc zawraca oba hufce i daje rozkaz nadwornym rotom kuszniczym.

Na komendę pochyliły się grzbiety, noga napięła cięciwę, ręka zaczepiła ją o spust. Sprawnie nałożono bełty ciężkie, śmiercionośne. Równocześnie poszły kusze do ramion, jak jedna jęknęły puszczone cięciwy. Krzykiem, śmiechem, gwizdem powitało rycerstwo polskie celność strzałów. Jak zdmuchnięta w tył poszła fala tatarska, mnogość trupów zostawiając ludzi i koni.

Mongolskie szeregi zakołysały się znów, do nowego widno natarcia. Tym razem na środek. I tu zaszedł wypadek, który czarną plamą legł na pięknej karcie dziejów bitwy.

Książę Mieszko Opolski coraz to bardziej upadał na duchu. Ze wstydem i zgrozą patrzą przyboczni rycerze, jak pobladła jego twarz jak drżą ręce, jak poniżona jest krew Piastowska w tym wyrodku. Oto przed następujące szyki tatarskie wybiegają jacyś ludzie, ktoś po swojacku krzyknął: „biegajcie". Zapewne Rusin w tatarskiej niewoli do służby zmuszony. Ktoś koło księcia opolskiego krzyk ten powtórzył — może on sam! Zdjęty przerażeniem Mieszko zrywa konia, obraca go młynkiem. Ucieka! Rycerstwo kotłuje się i miesza, jedni śpieszą zatrzymać, opanować rozruch, — drudzy już paniką zarażeni. Wpada w zmieszane szyki hezzar tatarski, siecze, goni. Rycerze zawracają, rąbią się zajadle, broni się czeladź konna i piesza — odpiera wroga. Lecz część hufca opolskiego uszła za księciem i oprze się aż w zamku legnickim. Po wiekach napisze o księciu opolskim mistrz Długosz te ostrożne słowa: „uszedł z garstką swoich ludzi do zamku legnickiego nie zasłużyszy na wieniec męczeński, pozyskany od tylu rycerzy za wiarę Chrystusa poległych".

Książę Henryk powiadomiony o ucieczce krewniaka wyrzekł: „gorzej się nam stało" — i miecz wyciągnął z pochew. Czas już wystąpić głównym siłom polskim — z niecierpliwości mdleją już ręce gorączkowo ściskające drzewca. Jest jeszcze wojska doborowego pięć tysięcy. Hufiec naczelny Henrykowy rycerstwa dolnośląskiego i najważniejszych wybranych rycerzy przy osobie księcia zostających. Hufiec drugi, małopolski, który tylko w spęczeniu harcowników brał udział. Trzeci, opolczyków co nie zbiegli, żądnych krwią zmyć hańbę swego księcia. Wreszcie pozostali z rozbitych hufców skrzydłowych templariusze, morawcy, krzyżacy. Przed nimi pole zasłane gęsto trupem, a za nim

(Dokończenie na str. 4.6)

Jan Minkiewicz

OPOWIEŚĆ O LEGNICKIEJ BITWIE

(III nagroda w konkursie na opowiadanie godło: „Jan Druszeyko")

rumieńce, a zamodlone, nieobecne oczy nabierały twardego, stalowego blasku. Na sobie miał zbroję srebrzystą z relikwiarzem, dar dobrego miasta Wrocławia. Zbroję płytową, na zachodzie kowaną, cudnej roboty, rzadkość niewidzianą. Ze zbroi płaszcz spływał suty, w czarne orły śląskie szyty. Pochelę go za księciem niesie. Drugie niesie hełm pozłocisty z pawimi piórami. Książe wyszedł z kościoła i zaczerpnął pełnym haustem powietrza. Już podprowadzono mu źrebca krwi wysokiej, białego, jak przystoi pomazańcowi. Wspiął się na siodło rycerskie, rozejrzał. Rycerstwo hurmem dosiadało wierzchowców, huczały rogi bojowe. We drzwiach kościoła archidiakon krzyżem żegnał rycerstwo, wołając by strzegł ich i prowadził Pan Jezu Kryst i Panna Maria i święty Jerzy i polscy męczennicy Wojciech i Stanisław. Henryk ściągnął purpurowe wodze i tknął ogiera ostrogą. Koń ruszył wdzięcznie i lekko, jak panna w taniec, lecz w tejże chwili chrapnął dziko i skoczył w bok gwałtownie. Książe zachwiał się w siodle i spojrzał w dół zdumiony. Tuż u końskich kopyt leżała strzaskana potężna dachówka — o włos, a zabiłaby księcia. Szmer poszedł między rycerstwem — szept ponury: niedobry to omen.

Między Koskowicami a Ujazdem, który dziś nosi miano Gniewomierza, stanęły rozwartą podkową wojska księcia Henryka, z lewej oparte o jezioro, z prawej o Białą Strugę. Posłuchano częściowo rad Sulisława — zestawiając szyki możliwie ciasno, tak jednak, by rycerze starodawnym obyczajem stanowili pierwszy, rzadki szereg wojska. Od prawego stanął hufiec pierwszy, któremu Bolko Dypoldowic przewodził, hufiec o składzie mieszanym. Obok paru secin morawskich rycerzy weszli doń Templariusze i Joannici oraz krzyżowcy ochotnicy z Zachodu. Prócz tego dołączył doń Henryk pięciuset górników z kopalń złotoryjskich i tyleż chłopskiej piechoty licho odzianej i zbrojnej. Drugi hufiec, nieco w tył cofnięty, pod wodzą wojewody Sulisława składał się z rycerzy małopolskich oraz wielkopolskich, których niewielu z pogranicznych ziem poznańskiego księstwa przybyło. Następnym był najbardziej w tyle stojący, hufiec środkowy, naczelny, pod piastowską stanicą, z rycerzy dolnośląskich i najprzedniejszych tylko gości złożony, pod wodzą samego Henryka zostający. Hufiec ten nazwą historycy piątym, jako że ostatni do walki wystąpił. Od niego poczyna zaginać się ku przodowi lewe ramię podkowy. Stoi obok huf trzeci, górnośląski z Mieszkiem Opolskim na czele, i za nim skrajny, czwarty, krzyżacki z komturem Popponem von Ostern, słaby liczebnie, więc wzmocniony chłopską piechotą. Roty kuszników książęcych po obu stronach stanęły Henrykowego środkowego hufca.

Razem do ośmiu tysięcy zbrojnego ludu miał Henryk, z czego

wały nad nim pieśni, wybuchały okrzyki i klątwy, niosło się rżenie koni, głos trąb i rogów — tumult przedbitewny ochoczego ludu. Aż ujrzano, jak od wzgórz odległych kopnęły się ku swoim, co duchu w szkapach czujki w zaroślach rozstawione, — do księcia, że już idą, że tylko patrzeć! I wtedy na krótko, na chwilę przycichła jakby, zmilkła wrzawa. Jakby się w tej chwili każdy z wojowników ze swymi pożegnał, ogarnął troskliwą myślą małżonkę — przyjaciela dobrego, dziecko płowowłose, czy sercu najbliższą dziewczynę. Bo te myśli odrzucić trzeba zaraz, precz odepchnąć, by nie przeszkadzały. By nie omdlało od nich serce w boju z wrogiem okrutnym, który pół świata pono zwojował.

Kapelan książęcy stanął w strzemionach i wysoko podniósł krucyfiks, kłaniając go w obie strony. Henryk, drugi tego imienia, Brodaczów syn — przeżegnał się szeroko znakiem krzyża świętego i skinął, by mu podano hełm. Włożył go na głowę i ozdobny, wysoki grzebień z pawich piór, z dala widoczny, poruszać się jął lekko od wiosennego wietrzyka, jak poruszała się nad nim piastowska stanica z królewskim, białym, orłem. Trąby i rogi bitewne zabrzmiały chrapliwie, groźnie.

A wróg spłynął falą z pagórków tak cicho i nieznacznie, że trzeba było przetrzeć oczy zdumione, by rozpoznać, że to nie pola się ruszają, lecz masy szaro-burych jeźdźców. Stanęły tumeny tatarskie na dwa strzelenia z łuku od chrześcijan, w trzech kolumnach głęboko do tyłu uszykowanych — między hufcami tymi rzekłbyś ulice, po których jezdni tam i nazad latają. Czwarty huf odwodowy daleko w tyle na wzgórzu, i przy nim chan Bajdar, Dżagatajów syn pod trzema buńczukami. Płynie w nim cenna krew Dżingischana, jako i w obu dowódcach tumenów, chanach Kaiću i Ordu, braciach Batuchana.

Stepowy koń chana stoi nieruchomo, wparty mocno w ziemię czterema krótkimi, muskularnymi nogami. Wie, że drgnąć mu nie wolno. Jest tak samo zdyscyplinowany, jak każdy z dowódców, czy przybocznych gońców, którzy przypadają co chwilę i odebrawszy skinienie lub rozkaz, znikają szybcy jak myśl. Wiedzą, że każdego z nich, za najlżejsze uchybienie schwycą straszliwe ręce przybocznych siepaczy i w oczach chana uduszą cięciwą z łuku. Żelazna karność czyni z tej hordy półdzikich, żądnych krwi nomaców, narzędzie wojny tak sprawne, że nie oparły mu się na niezmierzonych obszarach Azji ludy Ujgurów, Chińczyków, Chorezm-szachów, Armeńczyków. Gruzinów, Polowców. Toteż w nieodgadnionym, chłodnym wzroku mongolskiego wodza nie ma niepewności. Ulegną ci, co tam stoją naprzeciw. Jak musi ulec tłoś obskoczony w stepie przez stado głodnych wilków.

Mongolów więcej było niż chrześcijan, choć trzy tumeny Bajdara wykruszyły się mocno w stumilowym marszu i morderczych bojach. Niektóre hezzary zamiast dziesięciu omów, czyli secin, zaledwie po pięć liczyły. Skośnooki, krępy lud mongolski, różnił się od Słowian tak, jakby z innego pochodził świata. Futrzane czapy, watowane tuluby, futrzane, włosem na wierzch serdaki, pilśniowe obuwie. Poniektóry tylko pancerz ma ze skóry prażonej, a zaledwie parę hezzarów ciężkiej przybocznej jazdy odzianych jest w zbroje wschodnie łuskowe i małe okrągłe hełmy. Wojownik każdy ma łuk i kołczan pełen strzał, szablę krzywą i jatagan u pasa. Wielu po dwa łuki posiada, jeden lekki do strzału z konia, drugi ogromny do walki pieszej. Łuk taki, o cięciwie z jelit baranich grubości małego palca niewiasty, napięty przez silnego męża wypuszcza strzałę, która człeka na wylot przeszyje i zbroją kolczą ni szczyt pośledniejszy przed nią nie uchroni.

Na znak chana zakołysały się buńczuki nad skrzydłowymi hezzarami, zapiskały kościane gwizdki setników. Długogrzywe, kosmate szkapięta ruszyły z miejsca w ścigły cwał — przed hufce Henrykowe skoczyła ława harcowników, miotając w biegu chmurę strzał. Już się niejeden rycerz za bok chwycił i z siodła osunął, niejeden koń wspiął się i runął ciężko na ziemię. Lecz jeźdźcy mongolscy nie

lotne watahy — poszły w ruch kilofy, drągi, maczugi. Nieustępliwe męstwo licho zbrojnych, w parcianki odzianych musiało ustąpić zimnej, umiejętnej taktyce. Baczne oko dowódcy czuwało nad bezładnymi na pozór szarżami — w każdą lukę czworoboku wciskał się natychmiast klin kosookich jeźdźców, rozszerzał wyrwę. Niewiele czasu minęło gdy piechota porozbijana na drobne oddziałki broniła się rozpaczliwie, topniała w oczach. Ponure górniki zwarły się po kilku plecami do się i prały zawzięcie kilofami rozwalając czerepy i obalając konie, w głuchym milczeniu, stękając jeno w zamachu jak u siebie, w sztolni. Książę obiecał im, biednym przypisańcom, że wolę otrzyma ten co się w boju odznaczy, a wszystkim byt przyrzekł poprawić, zrównać z przybyszami z Zachodu, których przywileje z dawna piekły naszych jak wrzody. Teraz widzieli już, że im ta wola chyba od Pana Jezu-Krysta albo od świętego Pietra w raju pisana, — więc tylko drogo sprzedawali życie.

Rozbite rycerstwo konne obu skrajnych hufców ustępować poczęło, cofać się ku swoim. Poległ zduszony arkanem, rozsiekany, margraf morawski zwany Szepiolką dla zająkliwej, syczącej mowy. Cofnął się ciężko ranny komtur Poppon, Chłopskie i górnicze piechoty nie cofnęły się, choć wiedziały, że nie o nich pieśni będą śpiewać trubadurzy. Otoczone wyginęły do nogi, broniąc się zajadle do ostatka. Książę Henryk wyraził podziw dla męstwa onych prostaków, lecz nie biadano zbyt długo nad stratą tych ludzi, jako że byli stanu nikczemnego. Nie pierwszy to raz w historii krew chłopska obficie zrosiła ziemię ojczystą. Lecz pierwszy raz pod Legnicą zmieszała się z nią krew górników. Widać potrzebna była pod zasiew, dla dalekich, nieprzeczuwanych zborów — pod Lenę, pod hutę legnicką, pod lubińskie zagłębie.

Gdy skrajne hufce polskie toczyły bój na skrzydłach — centrum stało nieporuszone, bezczynne. Co gorętsi rycerze kląc potrząsali bronią i toczyli wokół rozognionymi końmi — lecz woczowie stać w miejscu kazali, zaszachowani nieodgadnioną, milczącą masą przeciwnika. Gdy dołączyło rycerstwo z rozbitych hufców, mongolska jazda w pościgu dotarła pod szyki Henrykowe i harcową modą latała przed szeregami, sypiąc gęsto z łuków. Ruszą na nich Małopolanie i Opolczyki, lecz książę wie już, że nie należy lekkomyślnie rycerstwa do przodu wypuszczać, więc zawraca oba hufce i daje rozkaz nadwornym rotom kuszniczym.

Na komendę pochyliły się grzbiety, noga napięła cięciwę, ręka zaczepiła ją o spust. Sprawnie nałożono bełty ciężkie, śmiercionośne. Równocześnie poszły kusze do ramion, jak jedna jęknęły puszczone cięciwy. Krzykiem, śmiechem, gwizdem powitało rycerstwo polskie celność strzałów. Jak zdmuchnięta w tył poszła fala tatarska, mnogość trupów zostawiając ludzi i koni.

Mongolskie szeregi zakołysały się znów, do nowego widno natarcia. Tym razem na środek. I tu zaszedł wypadek, który czarną plamą legł na pięknej karcie dziejów bitwy.

Książę Mieszko Opolski coraz to bardziej upadał na duchu. Ze wstydem i zgrozą patrzą przyboczni rycerze, jak pobladła jego twarz jak drżą ręce, jak poniżona jest krew Piastowska w tym wyrodku. Oto przed następujące szyki tatarskie wybiegają jacyś ludzie, ktoś po swojacku krzyknął: „biegajcie". Zapewne Rusin w tatarskiej niewoli do służby zmuszony. Ktoś koło księcia opolskiego krzyk ten powtórzył — może on sam! Zdjęty przerażeniem Mieszko zrywa konia, obraca go młynkiem. Ucieka! Rycerstwo kotłuje się i miesza, jedni śpieszą zatrzymać, opanować rozruch, — drudzy już paniką zarażeni. Wpada w zmieszane szyki hezzar tatarski, siecze, goni. Rycerze zawracają, rąbią się zajadle, broni się czeladź konna i piesza — odpiera wroga. Lecz część hufca opolskiego uszła za księciem i oprze się aż w zamku legnickim. Po wiekach napisze o księciu opolskim mistrz Długosz te ostrożne słowa: „uszedł z garstką swoich ludzi do zamku legnickiego nie zasłużyszy na wieniec męczeński, pozyskany od tylu rycerzy za wiarę Chrystusa poległych".

Książę Henryk powiadomiony o ucieczce krewniaka wyrzekł: „gorzej się nam stało" — i miecz wyciągnął z pochew. Czas już wystąpić głównym siłom polskim — z niecierpliwości mdleją już ręce gorączkowo ściskające drzewca. Jest jeszcze wojska doborowego pięć tysięcy. Hufiec naczelny Henrykowy rycerstwa dolnośląskiego i najważniejszych wybranych rycerzy przy osobie księcia zostających. Hufiec drugi, małopolski, który tylko w spęczeniu harcowników brał udział. Trzeci, opolczyków co nie zbiegli, żądnych krwią zmyć hańbę swego księcia. Wreszcie pozostali z rozbitych hufców skrzydłowych templariusze, morawcy, krzyżacy. Przed nimi pole zasłane gęsto trupem, a za nim

(Dokończenie na str. 4.6)

II nagroda w konkursie na piosenkę

Druga młodość

Muzyka: Henryk Karliński

Słowa: Anna Matuszczak

(godło: „Laura i Filon")

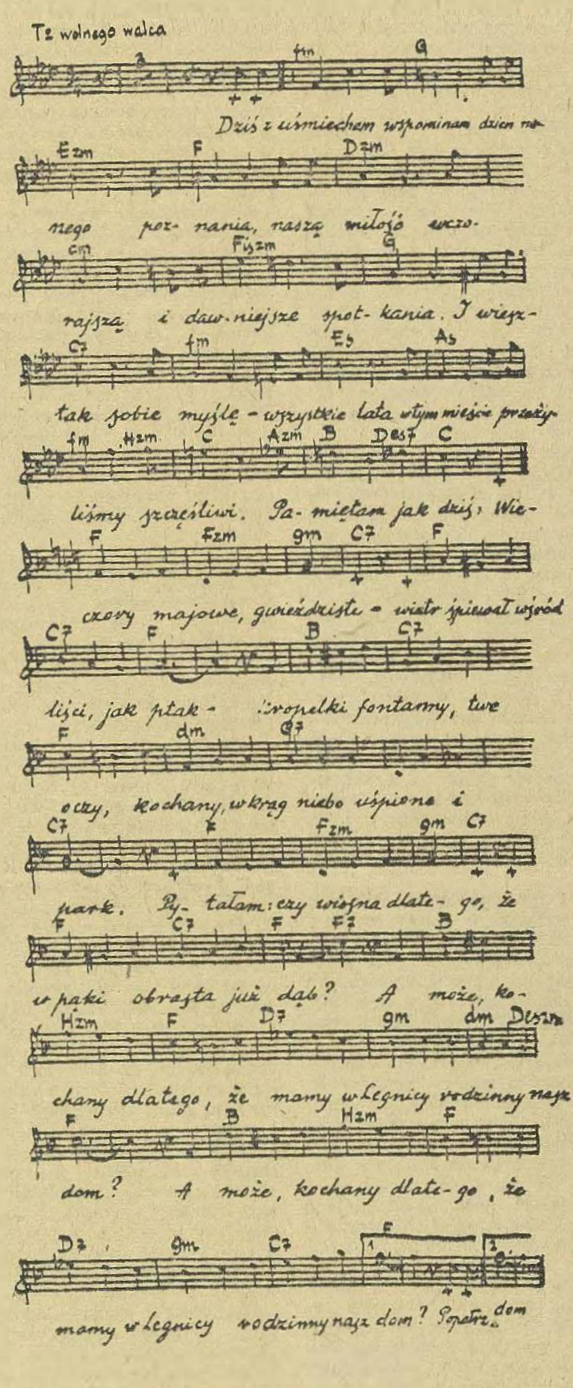

Dziś z uśmiechem wspominam
dzień naszego poznania,
naszą miłość wczorajszą
i dawniejsze spotkania.
I wiesz — tak sobie myślę —
wszystkie lata w tym mieście
przeżyliśmy szczęśliwi.
Pamiętam, jak dziś:

REFREN:

Wieczory majowe, gwieździste —
wiatr śpiewał wśród liści, jak ptak —
kropelki fontanny,
twe oczy, kochany,
w krąg niebo uśpione i park.
Pytałam: czy wiosna dlatego,
że w pąki obrasła już dąb?
A może, kochany
dlatego, że mamy
w Legnicy rodzinny nasz dom?

Popatrz — zima się kończy,
znowu wiosna nadchodzi.
Która wiosna z kolei?
Nie jesteśmy już młodzi...
Coś dziwnego w tym mieście
jednak dzieje się z nami,
bo miast starsi — wciąż młodsi
jesteśmy co rok.

REFREN:

Nadeszła znów wiosna, kochany.
Nad rzeką — stokrotek już biel.
Wiatr gładzi nam twarze,
a słońce da w darze
uśmiechy i tobie i mnie.
Zapytam: czy wiosna dlatego,
że porósł zielenią już klon?
A może, kochany
dlatego, że mamy
w Legnicy rodzinny nasz dom?

Opowieść o Legnickiej Bitwie

(Dokończenie ze str. 3/5)

gestwa wroga jakby nietknięta, nienaruszona, — ta sama ćma nieprzejrzana.

Uniósł Henryk wysoko miecz błyszczący. Zabrzmiały trąby i rogi chrapliwe donośnie, przyjmująco — aż konie przysiadły na zadach. Książę miecz w dół opuścił i ława rycerstwa runęła naprzód, — któż ją powstrzyma? Jak smoki prychając, ryjąc prawie nozdrzami rwą naprzód bojowe ogiery. Rycerze krzyczą w zapamiętaniu — lecą nad wojskiem zawołania starych rodów — Zaćorów, Strzegoniów, Odrowążów, — lecą okrzyki niemieckie, francuskie. W dalszych szeregach pędzą wrzeszcząc w uniesieniu pomniejsze włodyki i smerdy. Za nimi co tchu w piesi — czeladź rycerska, serviensy, kusznicy książęcy i obozowe ciury — kto żyw.

Mongolskie szeregi z odwagą przyjęły natarcie — lecz legły zdruzgotane w miazgę. Ława rycerstwa parła w przód kładąc pokotem całe hezzary. Nie widzą jednak chrześcijańscy rycerze, że pryskające na boki watahy — łączą się znów na tyłach, spajają karnie.

Wielki chan Bajdar stoi nieporuszenie na tym samym wzgórzu, przed nietkniętym tumenem odwodowym doborowego wojska. Od bitwy najeżdża chan Ordu z broczącą raną na śniadej twarzy. Pozwala sobie na zjadliwą uwagę, — tylko on może się na to ośmielić — w jego żyłach także płynie krew Niezłomnego — że może wódz dostatecznie już połciągnął do siebie wrogów pozorowaną ucieczką. Wrzawa bitwy dochodzi już całkiem blisko, coraz gęściej przelatują ranni wojownicy, zbiegane konie bez jeźdźców. Wódz najwyraźniej przeciąga strunę. Bez jego rozkazu — rzecz niesłychana — chan Ordu staje przed odwodowym tumenem i każe ordyńcom dobyć szabel z pochew. Dopiero wtedy Bajdar skinieniem ręki przyzywa żółtolicego Kitajca, dowódcę wojsk ognistych. W moment zza wzgórza wypadają jeźdźcy z przedziwnymi jakby miechami na plecach, z których rury wyrastały wysokie z wyobrażeniem głów na końcu, ludzkich lub smoczych — potwornych.

A już rycerstwu polskiemu ręce mdlały od cięć w gęstwie wrogów niekończącej się. Straciło już impet pierwsze natarcie, lecz wciąż posuwało się naprzód rozgarniając ciżbę zamykającą się z tyłu. Już na tyłach ciężko walczyła piechota, ściskana, odcinana od jazdy.

Wówczas to przed prącą naprzód ławą polskich rycerzy wyrosły naraz z tłumu pohańców głowy ochydne i żygnęły dymem smrodliwym i ogniem. Oszalałe ze strachu konie w tył młynem zwracały niebaczne na ostrogi ni wodze. A i w rycerzach duch upadł na ów widomy znak diabelskich mocy. Co słabsi duchem w tył się zaczęli oglądać a cofać — rozpłoch i zamieszanie ogarnęło szeregi. Wtedy na głos piszczałek rozstąpiły się tatarskie watahy tworząc szeroką ulicę — po której spadła na Polaków nawała wyborowej ciężkiej jazdy mongolskiej — pięć hezzarów odwodowego tumenu.

Zaczęła się rzeź okrutna, gonitwa dzika za grupkami, za pojedyńczymi wojownikami polskimi. Szeroko, szeroko po polach rozlała się fala drobnych utarczek, rozpacznych pojedynków, łowów na ludzi — w szuwarach nad Koskowickim jeziorem, w zaroślach, na przedpolach grodu legnickiego. Nielicznych tylko, co młodszych w pęta brali Tatarzy złowiwszy — większość mordowali okrutnie. Niewielu tylko szczęśliwcom dopaść się udało bram zamku legnickiego.

Wokół księcia Henryka długo wrzała zażarta walka — najznaczniejsi skupili się przy nim i najdzielniejsi rycerze. Zmniejszała się ta garść mężnych, jak zmniejsza się lan wyległego zboża, który kosiarze pracowicie zewsząd obchodząc docinają. Padł rażony strzałą w gardło wojewoda Sulisław; zwalił się siwobrody Klemens wojewoda głogowski. Już tylko kilkunastu, już kilku rycerzy przebija się z księciem przez wrogów. Rycerz Jan, syn Iwona jeszcze zaręcza księciu, że go wyprowadzi, że zna te strony, że nie ku Legnicy trzeba uchodzić, bo tam wroga najgęściej, lecz w bok, ku lasom nad Nysą Szaloną. Henryk broczy już krwią, jego biały koń pokryty planą z krwią zmieszaną jest maści różowej, bajecznej, chromieje dzielny koń książęcy, słania się. Jan widzi, jak opodal w zaroślach komornik książęcy Rościsław ranny nie może wsiąść na konia. Koń jest zdrowy, cały. Chętnie Rościsław odda go Janowi — niech się ratuje na nim książę, niech uchodzi. Gdy przesiadł się książę, ujrzał, że trzech ich już tylko zostało.

Znów ich dogania wataha znęcona blaskiem srebrzystej zbroi książęcej. Młody Konrad Konradowic książęcy ulubieniec powierza księcia Janowi: jego koń lepszy, niech goni z księciem, on, Konrad, zatrzyma pogoń. Zatrzymał ich na sekundę — rozniesiony, rozsiekany w sztuki. Znowu opadli, obskoczyli księcia, rozłączyli, odcięli od Iwonowicza. Henryk broni się do ostatka — nie poddają się bohaterowie pieśni rycerskich. Niech mistrz Długosz opowie jego ostatnie chwile: „gdy wreszcie wyniesioną w górę prawicą Tatara najbliżej docierającego chciał ugodzić, drugi Tatarzyn pchnął go dzidą pod pachę i zaraz Henryk opuściwszy rękę upadł z konia. Tatary z wielkim krzykiem i wrzawą porwali go z miejsca i powlekli na bok o dwa rzuty z kuszy — tam dopiero ucięli mu głowę, którą zatknąwszy na drzewcu, a ciało odarłszy z szat książęcych, nagiego trupa zostawili na polu".

Z charkotliwym wyciem, z krzykiem radości niosła się polem ku Bajdarowi wataha z zatkniętą na spisie głową. Zwyczajny to był dla chana widok — niejednego bagatyra głowę mu przynoszono. Mongołom obcy był szacunek dla zwyciężonych, toteż zdziwienie ogarnęło wodzów tatarskich, gdy Bajdar łuższą chwilę w milczeniu patrzył na głowę, a potem wycedził słowo, że śląski książę godzien był zasiąść w kuryltaju między krewnymi Niezłomnego. Potem kazał głowę nieść przed wojskiem, które ruszało zamku legnickiego dobywać.

Z wysoka patrzą niewidzące oczy książęce na swą dziedzinę, wysoko dźwignięta jest dumna głowa, której nie było danem unieść polską koronę, a która godną tego była i bliską. Żałuj i płacz ziemio śląska swego dziedzica, który zespolić cię chciał z Polską na wieki.

Najpierw nad pobojowiskiem niosą Henrykową głowę — zeszły już zeń hieny — obdzieracze, chciwe łupu pogany. Setki, setki na nim trupów splątanych, pogodzonych — baronów, wojewodów i dobrych rycerzy, służalców, robów i obcych azjatyckich nomadów. W ciche przedwieczorne niebo śląskiej wiosny patrzą szkliście oczy szare i modre i te czarne, skośne, pod niebem tym niezwyczajne. Kto wie wiele tysięcy mężów padło w tej bitwie? Dziesięć? — Dwadzieścia? Niezgodne są źródła, niezgodni późniejsi uczeni. Jedno pewne, że była to bitwa z najkrwawszych całego średniowiecza, że długo opowiadano o niej i sławiono w pieśniach. Henryk z Heinburga kronikarz austriacki napisze o niej piękne w prostocie słowa: „Tatarzy spustoszyli Węgry, Morawy i Polskę i nikt nie stawił im oporu, z wyjątkiem jednego księcia polskiego Henryka, który został przez nich zabity ze wszystkimi swoimi..."

Nie zdobyli poganie legnickiego zamku — głowa księcia wkoło obnoszona raz jeszcze swoich zagrzała do walki. Na południe pójdą, na Morawy i Węgry wykruszone, lecz nadal sprawne tumeny Baidara. Zadanie wykonały — nikt nie zagrozi już od północy inwazji mongolskiej nad Dunajem.

Cud zapewne i opieka boska szczególniejsza, a chyba także koń przeźni, wiatronogi — umknąć dały od pogoni Janowi Iwonowiczowi. Gdy dopadł zamku legnickiego ostatni świadek ostatecznej klęski — ledwo brona kolczata za nim opadła, gdy Tatarzyny ścigające omal się o nią nie roztrzaskały w rozpędzie. Ślubował w ucieczce ,że szaty zakonne przywdzieje, i kiedyś, po latach, w dominikańskim habicie opowie uczonym ojcom szczegóły bitwy. Dotrą kiedyś te zapiski wielekroć przepisywane, zmieniane może i zniekształcone do rąk krakowskiego kanonika Jana Długosza. Ten w historii swojej utrwali je na wieki, na tak długo, póki polska nacja polskim mówić będzie językiem. Aby czyny bohaterów nie zginęły, by je uczciła kiedyś godnie pamięć prawnuków.

Jan MINKIEWICZ

Poza dostojnym a barwnym eposem Długosza, niewiele szczegółów o bitwie legnickiej zachowały dawne kroniki. Po wiekach niemało inkaustu wyleją uczeni polscy i obcy spierając się o liczebność wojsk i ich ustawienie, o miejsce i przebieg boju. Autor niniejszej opowieści pozwolił sobie na dość dowolne kompilacje, idąc jednak głównie za Gerardem Labudą, który dokonał najnowszego chyba krytycznego rozbioru źródeł. Autor nie jest przy tym pewien, że tak właśnie wszystko się odbyło — lecz tak odbyć się mogło.

Adela Kordys

Pan Romcio się nie zgadza

(TRZECIA NAGRODA W KONKURSIE NA OPOWIADANIE, GODŁO: „PO PROSTU CZŁOWIEK")

CIERPKA woń padających spod nożyc gałązek mieszała się z zapachem świeżo skopanej ziemi. W powietrzu snuje się dym tlących się zeszłorocznych liści. Wątły płomień z cichym trzaskiem skacze po suchych badylach dalii i nieśmiertelników nad dogasającym ogniskiem. Przedwieczorną ciszę przecina wysoki trel ptaszka, siedzącego na dachu sąsiedniej willi. Monika kładzie sekator na murku, siada na ławce, wyjmuje z głębokiej kieszeni swetra papierosy i nie odrywając wzroku od ogniska mówi:

— Chyba sobie zapalimy, panie Romciu...

Ponad dzielącym bliźniacze ogródki żywopłotem ukazuje się wąsata twarz ocieniona daszkiem wypłowiałego kaszkietu. Potem poprzez gałęzie ligustru wysuwa się sękata ręka trzymająca domowej roboty zapalniczkę. Najpierw słychać kilkakrotne suche pstryknięcie, wreszcie z grubego knota wystrzela błękitny płomyk. Monika pochyla się nad płomykiem i głęboko zaciągając się dymem papierosa przesuwa żółtą paczkę „Giewontów" przez dziurę w żywopłocie i obfity kłąb dymu obwieszcza, że zapalniczka i tym razem nie zawiodła.

Z uchylonego okna na parterze zalatuje smakowity zapach smażonej cebuli i białej kiełbasy suto zaprawionej majerankiem. Na drugim piętrze słychać monotonne stukanie tasaka o stolnicę. Monika na pamięć zna te odgłosy; u Majchrzaków było świniobicie, a na górze Buchmanowa szykuje rybę na sobotę. Na pobliskim przystanku zgrzytnął tramwaj. Głośno tupiąc i sapiąc przebiegną za chwilę chłopcy z internatu spiesząc na kolację.

Ostatnie nikłe promienie słońca wydobywają z cienia czarne, lśniące kontury rozłożystych jabłoni po drugiej stronie ulicy. Nabrzmiałe różowe brodawki paczków wyraźnie rysują się na szarym atłasie nieba. Monika mruży oczy przed tym blaskiem, a gdy je otwiera widzi na grządce, długi, liliowy cień, a nad niskim murkiem dzielącym ogród od ulicy krępą postać mężczyzny w brązowej, wypłowiałej na ramionach marynarce i granatowym kaszkiecie. Twarz mężczyzny ginie w cieniu szerokiego daszka, za to zgrubiałe wsparte o murek ręce żyją własnym życiem pod ukośnym, teraz już czerwonym odblaskiem nisko zawieszonej nad ziemią słonecznej kuli.

— Pani inżynierowa znowu wczoraj sama węgiel nosiła?

Głos mężczyzny jest niespodziewanie młody i chwilami załamuje się na wysokich tonach, jak u chłopca przechodzącego mutację.

Monika opiera się plecami o nagrzaną ścianę domu i wyjmuje z paczki następnego papierosa.

W kuchni na parterze zarumieniona od ognia Majchrzakowa unosi pokrywę i podlewa wodą skwierczącą na patelni kiełbasę. Potem uchyla drzwi do pokoju i mówi do pochylonej nad zeszytem Barbarki:

— Która to godzina? Kolacja gotowa, a ojca jeszcze nie ma.

Barbarka podnosi głowę i zamiast na zegar spogląda przez okno, po czym mówi:

— Siódma. Pan Romcio już rozmawia z inżynierową.

Na drugim piętrze Buchmanowa odkłada tasak i wyciera ręce. Stukanie milknie. Szara, pulchna masa na drewnianej stolnicy ostro pachnie pieprzem, cebulą i gałką muszkatołową. Taką rybą można poczęstować samego rabina. Siekała całą godzinę — tyle właśnie ile wymaga najdoskonalszy przepis. Od szóstej do siódmej. Nie potrzebowała patrzeć na zegarek, wystarczyło od czasu do czasu wyjrzeć do ogrodu.

Monika patrzy na ręce opartego o murek mężczyzny:

— A pan znów nie poszedł do Poradni. Ten kciuk już panu zupełnie wysadziło. Pije pan rezmosan?

Mężczyzna chowa rękę do kieszeni marynarki, ale po chwili znów ją kładzie na murku.

— Niech pani inżynierowa zębów nie zamawia — mówi gderliwie. — Tona węgla to nie kilo orzechów z Delikatesów. Trzeba to było samej targać?

— Jurek mi pomagał, ja tylko nakładałam.

Ostry blask zachodzącego słońca przygasł i teraz już tylko przesypuje zapadający zmrok różową mżawką. Mężczyzna robi pół obrotu w stronę mijającego go Majchrzaka. Spod szerokiego daszka kaszkietu spoglądają bardzo niebieskie, ukryte w wesołych zmarszczkach oczy. Lekkomyślnie zadarty nos nad sumiastymi wąsami i bardzo różowe wydatne usta stanowią zaskakujący kontrast z gderliwym, marudnym tonem głosu.

— Z Jurka taki pomocnik, jak z koziej dupy trąba, z przeproszeniem pani inżynierowej. W sam raz para do mojego Franka. Obu w głowach na pstrym koniu lata.

— Czemu się pan dziwi, panie Romciu. Przecie się w jednym dniu i minucie urodzili.

Monika na chwilę wraca pamięcią do tamtej chwili podczas nalotu w klinice na Czerniakowskiej, kiedy niemrawa położna miotała się między dwoma łóżkami, nie wiedząc którego noworodka najpierw przyjąć. Dopiero kiedy Anna, żona pana Romcia, huknęła na nią; „Idź pani do inżynierowej, bo jej dzieciak nie zipie", odzyskała przytomność.

Monika wynurza się z trudem ze wspomnień, jak z głębokiej wody i już przytomnie dodaje:

— Gdyby nie Anna, może by Jurek dziś nie żył.

— A gdyby nie pani, Franek by nie latał po Legnicy.

— Przesada, panie Romciu, przesada... — Monika gniecie w palcach suchą główkę nieśmiertelnika i rzuca ją na dymiący jeszcze popiół ogniska.

— Pewnie, pani inżynierowej się wydaje, że każdy chciałby ganiać do apteki pod kulami po lekarstwo dla cudzego bachora — nie poddaje się mężczyzna.

— Mnie się, panie Romciu, wydaje, że nie każda matka odda cudzemu bachorowi ostatnią garstkę ryżu i ostatnią łyżeczkę kakao — i to w czasie powstania — uśmiecha się chytrze Monika.

— Pani inżynierowa zawsze ma odpowiedź. Pewnie pani powie, że każdy odda komuś tapczan, a sam będzie spał na zawszonych materacach.

— Tapczan był nadpalony z jednego końca i tylko kochające się małżeństwo mogło na nim spać, a na materacu przynajmniej można było nogi wyciągnąć. Zresztą gdyby nie pan to i tych materaców nie byłoby gdzie położyć — bez zapału ciągnie Monika spór, który trwa już szesnaście lat, to jest od chwili, gdy w ślad za pierwszymi czołgami, zimą czterdziestego piątego roku przybiegła do spalonej Warszawy. Wtedy to pochylona nad stosem zbutwiałych szmat i potłuczonych skorup usłyszała, przez wyrwane wybuchem pocisku okno, krokі ludzkie na sąsiednim podwórku, a gdy podniosła wzrok zobaczyła na bieli śniegu ciemną postać w długim granatowym płaszczu i w głęboko nasuniętym na oczy kaszkiecie. Pan Romcio, w jednej osobie szewc i dozorca sąsiedniej cudem ocalałej willi, oglądał swoją posesję. Jednym susem przeskoczyła wyrwę w ścianie i znalazła się przy starym znajomym. Długo potrząsali sobie dłonie, powtarzając: „To wy żyjecie! To wy żyjecie!". A po godzinie Monika miała klucze od mieszkania po volksdeutschach, do którego, brnąc po rumowiskach, przenosiła smutne resztki swojego dobytku. Z tego mieszkania wyruszyli zresztą całą gromadą na Zachód, wkrótce po tym, jak pan Romcio wrócił z Warszawskiego Komitetu Partii i powiedział krótko: „— Jedziem do Legnicy, tam ludzi potrzeba". Przodownikiem pionierskiej grupy obwołano jednogłośnie pana Romcia, a intendentem Annę, jego żonę, która bez słowa spakowała do żółtego — drewnianego kuferka szydła, dratwę i kopyta, zawiązała w zgrzebne wojskowe prześcieradło jedyną ocalałą pierzynę i poduszkę, posadziła na tym tłumoku pyzatego Franka i z wrodzonym optymizmem czekała na mężowskie instrukcje. Czterdziestoletni wtedy pan Romcio dwoił się i troił, załatwiał formalności w PURze, Czerwonym Krzyżu i niezliczonych instytucjach, przynosił i wypełniał koślawym pismem formularze, niechętnie zerkając w stronę męża Moniki, zajętego bagażem małej pielęgniarki Niny. Warszawski szewc i dozorca w jednej osobie złym okiem spoglądał na tę parę i mruczał robaczywy pacierz pod nosem, widząc Monikę, uginającą się pod ciężarem nie schodzącego z jej rąk Jurka. Była wtedy wychudzona, jak szkielet, sczerniała i zapyziała, jak bezdomna kotka.

— Dzisiaj by też pani inżynierowa nie miała, gdyby na swego mężulka liczyła — swarliwie mruczy pan Romcio, dymiąc przez nastroszone wąsy „Sportem".

Ręka Moniki wędruje do kieszeni po „Giewonta", a głowa wykonuje nieokreślony ruch — ni to przeczenia, ni to aprobaty.

— No, jakiś dach nad głową by się przez te szesnaście lat znalazł — mówi bez przekonania, byle nie pozostać dłużną w odpowiedzi. — Pan też niezgorzej wtedy narozrabiał, panie Romciu.

— Bo sprawiedliwość musi być, pani inżynierowo — zapalczywie wybucha mężczyzna.

— Dałby pan spokój z tym tytułowaniem, panie Romanie, jaka ja tam inżynierowa. Pan najlepiej wie!

— A wiem — podrywa się mężczyzna. — Wiem, na swoje oczy widziałem i wszyscy to widzieli. Pani inżynierowa całą okupację na niego harowała, a on się byczył i za babami latał. Pani się ten tytuł należy, przecie nie tej wywłoce, cośmy ją stąd wygnali.

— Razem z nim, po nocy, kiedy się najmniej spodziewali — dodaje beznamiętnie Monika. — A on potem powiedział, że to ja was namówiłam.

— Pani? Pani jest święta kobieta — mówi z głębokim przekonaniem mężczyzna.

„Święta kobieta" patrzy z czułością na wytarty daszek granatowego kaszkietu pana Romcia i zastanawia się przez chwilę czy mu opowiedzieć, jak rozstawiła dziś po kątach rodzinę Jędrzejczakowi za to, że znów przyszedł pod gazem do pracy. Zamiast tego mówi miękko:

— Gdzie pan te czapki kupuje, panie Romciu? Chyba nie w Legnicy...

— Z Warszawy każdy raz sobie przywożę, jak do siostry jeżdżę. Bo ja co roku muszę być w Warszawie. Warszawski rodak jestem, z Czerniakowa. Żyć bez Warszawy nie mogę.

— To czemu się pan tam na stałe nie przeniesie? — pyta podstępnie Monika z chytrym uśmiechem i nogą w grubym trzewiku przydeptuje niedopałek.

Przez chwilę lekkomyślnie sądzi, że zdołała przewekslować rozmowę na inny temat, ale mężczyzna nie daje się zbić z tropu. Uparcie wraca do tamtego tematu.

— Kiedy on to pani powiedział? — w niebieskich oczach zapala się niebezpieczny błysk i Monika z rezygnacją stwierdza, że jej podstęp spalił na panewce.

— Dawno, zaraz po tamtej drace...

Spoza śpiczastego dachu sąsiedniej willi wypływa na niebo niepokalanie czysty sierp młodego księżyca z gwiazdą zaranną po prawej stronie. Tak samo świecił wtedy, przed szesnastu laty, kiedy szła z dworca przez milczące ulice nieznanego miasta pomiędzy panem Romciem i Anną, pchając przed sobą wózek z uśpionym Jurkiem. Była późna jesień i ostre cienie nagich gałęzi kładły się zawiłą kratą na chodnik. Ulice były bezludne mimo niezbyt późnej pory, tylko w nielicznych oknach paliły się światła, rzucając skąpy odblask przez zasłonięte szyby. Patrząc na te okna Monika myślała wtedy, że inni ludzie mają już swój dach nad głową i wiedzą, co ich czeka, a ona ma za sobą tylko gruzy i ruiny. Na tych ruinach musi zbudować nowe życie dla siebie i swego dziecka. Mogła co prawda zakotwiczyć po swojej życiowej awarii gdzieś przy rodzinie, ale byłaby wtedy wydana na łup wspomnieniom, zatruwającym każdy dzień i każdą noc.

I już nie przerywa mężczyźnie, którego słowa są teraz dalszym ciągiem jej wspominków. On zaś, jakby to czując, przestał atakować jej irytującą wyrozumiałość, lecz perswaduje i usprawiedliwia się jednocześnie z tego, co się stało fundamentem ich przymierza.

— Myśleliśmy, że on to gniazdko dla pani i dziecka szykuje. Pomagaliśmy mu, jak mogliśmy, nawet pianino mu sami wnieśliśmy na górę. Anna kwiaty zaflancowała, te pani ulubione bratkowe pelargonie. Nie było dnia, żeby czegoś z gratów do kuchni nie podrzuciła. Cieszyła się, że będziemy mieszkać drzwi w drzwi, że nasze chłopaki będą razem rosnąć. Wciąż pytała: „Kiedy żona przyjedzie". A on ciągle mówił: „już wkrótce, już niedługo". Pojechał wreszcie, klucze nam zostawił. Anna mało ze skóry nie wyskoczyła; podłogi wyszorowała, okna umyła, bukiety poustawiała. A on przyjeżdża z tą małpą i przedstawia: „Moja żona". No, to nas zatkało. Tego wieczoru nic z Anną nie powiedzieliśmy, czekaliśmy, co reszta kamienicy powie. A od rana zaczęło się. Najpierw wszystkie kobiety przylecieły do Anny, pytać czy to prawda, potem mnie obsiadły z krzykiem, żebym im powiedział, że one się nie zgadzają, a jak nie powiem, to one same z nimi załatwią. Może by to jakoś przyszło, ale Majchrzakowa usłyszała jak tamta skarżyła się do niego: „Te baby ze mną nie gadają", a on odpowiedział: „Nie zwracaj uwagi na tych chamów".

Sękate ręce na murku zaciskają się w pięść, przygarbione plecy w wypłowiałej marynarce prostują się. Głos mężczyzny już się nie załamuje na wysokich tonach, kiedy mówi:

— Ja jestem prosty szewc, warszawski „cieć", może jestem cham w czyimś pojęciu, ale ja bym swojego dziecka, swojej żony nie rzucił na pastwę losu. I to wtedy, kiedy został bez dachu nad głową. Pan inżynier myśli, że my przez nasze chamstwo kazaliśmy się im stąd wynosić, że jego „wyższej etyki" nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Pan inżynier się myli. My się tylko nie zgadzamy na taką „wyższą" etykę.

Monika nie dziwi się, że mężczyzna mówi trochę jak z książki, a trochę jak ze wstępnego artykułu. Wie to, czego nie powiedział, czego nie powie w największym ferworze ich codziennych dyskusji, czego może sam nie wie — że od dawna jest sumieniem wielu ludzi I że to on przed laty podpisał jej rekomendację, gdy wstępowała do Partii.

Wszystkie okna już od dawna zamieniły się w złote kwadraty. Narożna kamienica wygląda teraz, jak okręt płynący po morzu kwietniowej nocy. Zmieniły się też odgłosy zapełniające ulicę. Na pierwszym piętrze otwiera się okno i rozlega się wesoły, tubalny głos Anny:

— Bójcie boga, ludzie, ale można siedzieć na tej wilgoci? Monika, stary, chodźcie na kolację, pyzy dziś zrobiłam — paluszki lizać!

Mężczyzna podnosi z ziemi małe grabie i dziabkę. Monika bierze sekator i mówi niespodziewanie dla siebie samej zachrypniętym ze wzruszenia głosem:

— Ja wiem, że pan się nie zgadza na to, co jest złe. I pewnie dlatego tak mi jest z wami dobrze! — Potem wstydząc się zdradzić ze swymi babskimi sentymentami zwierza się już w duchu: — Dobrze mi w tym domu, w tym mieście, które dzięki wam stało się moją i mego dziecka przystanią. Potem łapie się na tym, że formułuję swe myśli jak pozytywny bohater i głośno dodaje: — Jędrzejczak znów zaczął pić, niech pan z nim pogada, bo dostanie czternastkę i cześć pieśni. No chodźmy do domu, obywatelu radny.

— Idziem, dyrektorze...

Okno na parterze gaśnie, słychać przytłumione trzaski, a po firance przesuwa się fala cieni. Kiedy wchodzą do domu drzwi Majchrzaków otwierają się i słyszą głos Majchrzakowej:

— Przychodźcie na telewizję, fajny dziś program.

Na pierwszym piętrze zatrzymują się; pan Romcio otwiera drzwi na prawo, Monika na lewo. W kuchni Jurek z Frankiem coś majstrują przy rowerze.

— Pani Buchmanowa zapłaciła za nas za gaz rachunek, tam leży. I zapraszała na rybę — melduje z kuchni Jurek.

Na górze warczy teraz pralka, na dole buczy telewizor, za ścianą ktoś gra na akordeonie. Kobiecy głos wtóruje: „Trochę smutno, przyjdź w niedzielę..."

Monika otwiera radio i długo stoi przy oknie. Nie odchodzi i wtedy, kiedy Jurek staje za nią i opiera brodę na jej ramieniu.

— Nie możesz się napatrzeć na swoje miasto? — pyta, ocierając się uchem o policzek matki.

— Nasze — moje i twoje, syneczku. I twoich dzieci.

Adela Kordys

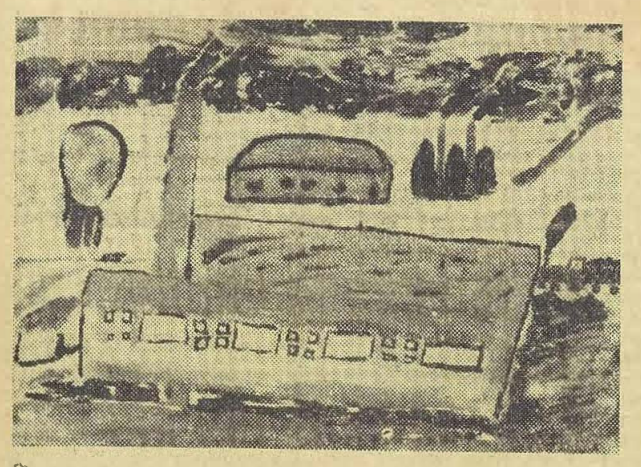

„Nasza Huta pracuje" — wyróżniony rysunek Jerzego Lewczuka, lat 9, ucznia III klasy szkoły podstawowej nr 5 w Legnicy.

„Legnica — capstrzyk w 15 rocznicę wyzwolenia" — wyróżniony rysunek Michała Krasnopiórki, lat 12, ucznia klasy Va szkoły podstawowej nr 5 w Legnicy.

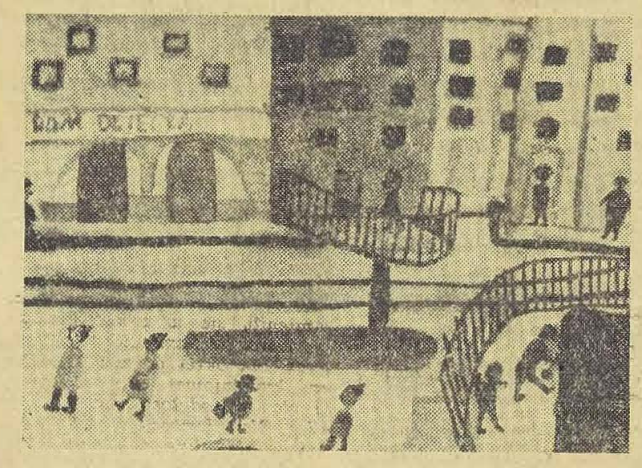

„Dom dziecka" — wyróżniony rysunek Bogdana Króla, lat 12, ucznia klasy Va szkoły podstawowej nr 5 w Legnicy.

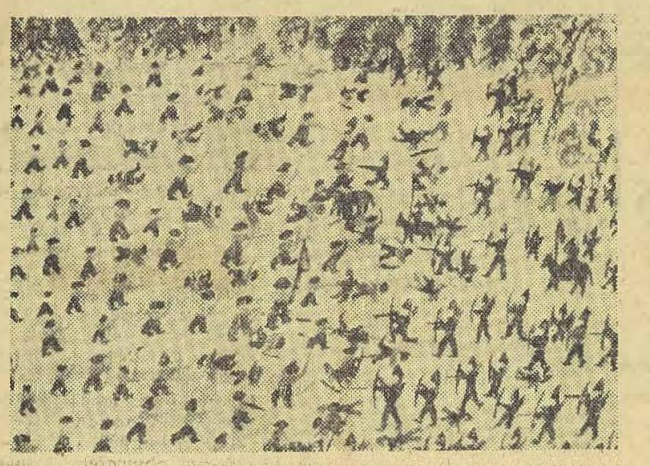

„Bitwa pod Legnicą" — wyróżniony rysunek Romana Wilka, ucznia kl. VIIa szkoły podstawowej nr 2 w Legnicy.

(Dokończenie ze str. 2/4)

Powrót na swoje

Los im dopomógł. Kolega Wojtka z poczty, mieszkał w dzielnicy jednorodzinnych domków, na Góralskiej. Miał rodziców, żonę i brata, którzy nie ruszali się z domu. Obok nich był wolny drugi taki domek, kompletnie urządzony, który zobowiązali się mieć zawsze na oku i strzec w czasie nieobecności chłopaków.

Jarek ucieszył się serdecznie. Był to bardzo ładnie rozplanowany domek, z dużym, zadrzewionym ogrodem, z dyskretnym podwórkiem przystosowanym do małej przydomowej hodowli. O takim właśnie domu marzyła jego matka. Stał niedaleko centrum miasta, a jednocześnie — jakby na wsi.

Jeszcze tego wieczora napisał kolejny list do domu, tym razem już nie sprawozdawczy, a agitujący — i czekał na szczęśliwy traf i odpowiedź. Dotąd otrzymał tylko jedną przesyłkę, odpowiedź na jego ostatni list, przesłaną za jego radą, na adres Janczaka.

— No, a jak by już się nawet starzy na przyjazd zgodzili, to co będą robili? Matka — rozumie się, będzie miała dom, ogród, jak to kobieta, ale gdzie zatrudnisz ojca? — pytał Wojtek.

— Ojciec jest elektrykiem, zawsze robotę znajdzie.

— No, niby prawda, ale przecież tak się piekli o ten twój wyjazd, to gdzie mu tam teraz samemu...

— Spokojna głowa! Jak go matka zacznie przekonywać, namawiać, tłumaczyć i biadolić, dla świętego spokoju spakuje manatki i przyjedzie.

— To z matką już się dogadałeś?

— Jeszcze mi nic nie napisała, tylko wypytuje, czy zdrowy jestem, czy nie głoduję, i nie ruszam niewypałów.

— Jak o dzieciątko się martwi, ty stary byku. E, żebym to ja miał matkę, znalazłbym sposób na ściągnięcie jej tutaj znacznie prędzej od ciebie.

Jarkowi żal było przyjaciela. Rodzice jego zmarli jeszcze przed wojną, a on wychowywał się u ciotki, która sobie głowy nim zbytnio nie zaprzątała.

— Zobaczysz, gwiazdkę chyba spędzimy tu wszyscy razem. Żeby jeszcze Halka z mężem się namyśliła — ale by było wesoło!

— Coś mi się nie chce wierzyć, żeby twój stary się złamał. Tam się zasiedział, przyzwyczaił do wszystkiego wokoło i uparcie wierzy, że po tych wszystkich zmianach to i tam cuda się staną.

— Jakie cuda?

— A bo ja wiem? On chyba też nie wie dokładnie. Ale czeka na jakieś ogromne przemiany, czy ja wiem... Może sobie co wykombinował? Jakieś zajęcie nowe, żeby pokazać, że on Kryśka, nie musi być stale monterem... Jakby tutaj przyjechał i zmienił sobie robotę, to by nie było to samo, bo by kumple i wszyscy tam, o tym nie wiedzieli. Gledzę, sam wiem, ale coś mi się zdaje, że tak z nim właśnie jest.

— Wiesz, nie myślałem o tym jakoś. Może ty nawet masz rację?... No, zobaczymy, co mi odpiszą.

IV

W listopadzie ruszyły pierwsze tramwaje. Kłopotu z tym było co niemiara, bo samo odgruzowanie, jezdni i naprawa pozrywanych linii elektrycznych, zajęła masę czasu, i wiele napsuła nerwów wszystkim, którym ta sprawa nie była obojętna. Kiedy już trasa była gotowa, same wozy, łatane bez przerwy, coraz — wypowiadały posłuszeństwo. Wagony nie miały szyb, wciąż brakowało części, dopływ prądu nie był ciągły, a pasażerowie upodobali sobie szczególnie jazdę na gapę. Konduktorzy i maszyniści, w części Niemcy, albo wyjeżdżali do Niemiec, albo zmieniali pracę i miejsce zamieszkania, a w ogóle — trochę sobie z wszystkiego bimbali.

Jarek awansował na dyspozytora i bardzo był swoją funkcją przejęty. Lubiany też był i osobistych zatargów z ludźmi nie miał. To ułatwiało pracę, zważywszy, że wszyscy tu uważali się za panów własnego losu i nie przywykli liczyć się z drugimi — ale nie załatwiono wszystkiego. Dyscyplina pracy była w proszku. Załoga na przykład ustaliła sama, że w południe wozy będą stały, bo oni muszą zjeść obiad. No i stały wozy — nierzadko do wieczora, jeśli po obiedzie motorniczy, zamiast do pracy szedł sobie do domu, kombinować węgiel na zimę.

Jesień była ciepła, przymrozki nie nadchodziły i Jarek, po powrocie z pracy, porządkował swój dom i ogród. Szczególnie praca w ogrodzie przypadła mu do gustu. Żeby go uporządkować przed zimą, kopał ziemię i wygrabiał liście. Chciał, żeby matka zastała w nim wszystko, jak trzeba. Obiecał jej ten ogród i teraz pełen dumy czekał na chwilę, kiedy go jej przekaże. Wciąż liczył się z przyjazdem rodziców. Pierwszy raz w życiu matka będzie miała swój własny ogród i to właśnie on go jej podaruje. Czasem pomagał mu Wojtek, ale rzadko.

Poczta także się rozrastała, potrzeby ludności, korespondencja i spedycja rosły, a brak było transportu, odpowiedniego pomieszczenia i stałego rozkładu jazdy pociągów. Kłopotów więc, jak i wszędzie, nie brakowało. Poza tym — rzecz najciekawsza — Wojtek się zakochał i coraz częściej znikał z domu na całe popołudnia i wieczory. Dziewczyna mieszkała z rodzicami na Kamiennej i była nauczycielką. Wojtek, szczęśliwy, debiutujący narzeczony był trochę za mało przytomny, jak na doradcę, więc Jarek urządził dom według własnego gustu. Zgromadził w nim wszystko, co potrzebne jest w gospodarstwie i aż sam się dziwił, skąd mu się bierze świadomość takiego, czy innego naczynia, bielizny, czy innego grata. O samochodzie — rzekomo dla Krysi — nie pomyślał, choć patrząc na zakochanego i ogłupiałego ze szczęścia Wojtka — często myślał o Krysi.

— Niech się wypcha! — zdecydował w końcu, nie widząc innego wyjścia. Nawet się specjalnie nie przejmował tym, że do niego nie pisze. Pies ją drapał!

W czasie wojny razem chodzili na komplety do Stefana i wszystko było cacy. Po wyzwoleniu miasta jednak, szanowny tatuś Krysi, pan aptekarz, wyjechał gdzieś na kilka dni, a wrócił własnym wyładowanym samochodem, z kandydatem na zięcia w dodatku. Przeprowadzka do przedwojennego mieszkania, dostatek, samochód i narzeczony — wszystko razem przewróciło pannie Krysi w głowie i spotkania z Jarkiem się urwały. Tam — chodzi czasem z tego powodu jak struty, ale tutaj, coraz mniej o tym myślał, chyba, że Wojtek zażartował czasem...

Miesiąc temu Grzesiecki przywiózł nareszcie swoje córki. W czasie pogaduszki u Pajestków, z Janczakami włącznie, jakoś zgadało się o Orłowskich i wtedy, jedna z dziewcząt powiedziała:

— Pomyśleć — ta Krysia taka młoda, a wyszła za takiego starego...

Wtedy akurat Jarek zauważył, że najstarsza siedemnastoletnia Grzesiakówna, jest bardzo ładna i miła.

Grzesiecki był przez całe popołudnie wśród przyjaciół, jakiś nieswój. Kręcił się, wybuchał śmiechem, to znów w popłochu zatykał usta dłonią i bacznie obserwował Jarka. Pod wieczór — cały zamienił się w śmiech. Udał mu się kawał! — i wręczył Jarkowi kopertę zaadresowaną ręką ojca.

— Panie Grzesiecki, skąd?... — zdziwił się i ucieszył zarazem.

— No, przecież pan widzi — inżynier był bardzo zadowolony z siebie. — Ojciec napisał do pana, że od nowego roku przenosi się z matką do Legnicy.

Jarek uszom nie wierzył.

— Naprawdę? Jak pan to zrobił?

— Zwyczajnie. Poszedłem, wypiliśmy sobie po sto gram, a w domu u pana pytali o wszystko i pytali, więc im opowiadałem, aż mi w gardle wyschło. Znów sobie nalaliśmy po setce, a ja gadałem jak aktor.

Wie pan, matka to już dawno była przygotowana na ten wyjazd. Tym ogrodem i domkiem całkiem ją pan oczarował. Ojciec, ciągle do wyjazdu podjudzany, gotów już był matce ustąpić, tylko — wyznał mi po którejś tam kolejce — głupio mu trochę było, że tak panu zabraniał, a teraz sam...

— A nie mówiłem?! — triumfująco wmieszał się Wojtek.

— ...Mówiłem mu, panie Kryśka, coś się pan uczepił tej fabryki, a bo to tam fabryk nie ma? Choćby ta, w której ja pracuję? Albo w elektrowni na przykład... A zawsze bylibyśmy wszyscy razem. Chłopak jest jeszcze młody, a choć niegłupi, może jakie głupstwo zrobić. Co ojcowska ręka, to ojcowska ręka.

— To kiedy tak naprawdę przyjadą? — niecierpliwił się Jarek.

— Na drugi dzień poszedłem po ten list — kończył inżynier — to matka pana już zaczynała się pakować. Wtedy ojciec powiedział:

— Po co ty matka, pakujesz tego tyle? Nie jedziemy przecież w dluga podróż, ani na wygnanie, tylko na swoje.

Janczak wzrokiem objął zebranych i rzekł uroczyście:

— Tak pomału na to zimie ściągniemy znowu. Coraz więcej, coraz więcej ludzi wraca na swoje.

ANNA MATUSZCZAK

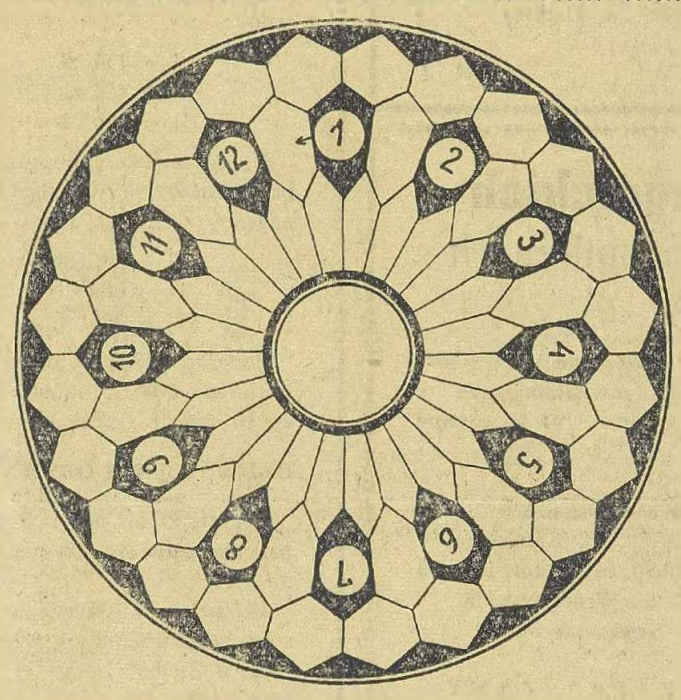

Wirówka

WIRÓWKA NR 75

Dookoła cyfr wpisać 12 wyrazów sześciolliterowych zgodnie z ruchem wskazówki zegara. Początek wpisywania każdego wyrazu w polu oznaczonym.

Znaczenie wyrazów:

1) pomieszczenie mieszkalne dla załogi okrętowej,
2) roślina oleista,
3) najbardziej oddalona od słońca planeta,
4) tylna część parowozu,
5) oszczep o cienkim grocie,
6) mapa plastyczna,
7) sielanka,
8) postrach alpinistów,
9) nieproszony gość,
10) odwzajemnienie się,
11) ulubieniec bogini miłości Afrodyty,
12) chińska tkanina bawełniana z silnym połyskiem,

W. Czeszejko

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR. 9 (205)

PIONOWO: 1) chwasty, 3) godzina, 7) Szeherezada, 9) makler, 11) pogoda, 12) geniusz, 13) piąta, 14) statyw, 18) meganit, 20) Aryman, 21) karcer, 22) alternatywa, 23) antenat, 24) szalupa.

PIONOWO: 1) Chromik, 2) szereg, 4) diabaz, 5) Ali Baba, 6) tropik, 7) szkarlatyna, 8) amortyzacja, 10) rentgen, 11) psotnik, 15) chandra, 16) Masina, 17) korekta, 18) marten, 19) taryfa.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI KONIKOWKI z nr 10 (206)

„Międzynarodowy Dzień Kobiet"

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki z nr 10 „Wiadomości Legnickich" otrzymali Irena Zieniewicz z Legnicy, Apolonia Węglowska ze Złotoryi, Kazimiera Pietraszczyk z Legnicy.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki z nr 11 w drodze losowania przyznano Janinie Domańskiej z Raszówki, pow. lubiński i Marii Staniszewskiej z Legnicy.

Święta, boks i brydż

Pani Maria wybiera się wraz z całą rodziną w pierwszy dzień świąt z wizytą do przyjaciół. Zespół rodzinny pani Marii składa się z trzech osób dorosłych i dwojga dzieci. Ośmioletni Wiesio i jego siostra to młodzież o wielkim temperamencie. Przyglądając się kiedyś igraszkom tej dwójki przy własnym ognisku domowym, przypomniałam sobie minione święta i swoją wizytę u znajomych, przyjmujących wówczas kilka małżeństw, które nie omieszkały zjawić się z dziećmi. Podziwiałam wtedy cierpliwość i wytrzymałość fizyczną gospodyni, która przez kilka godzin galopowała na trasie kuchnia — pokój i z powrotem, obsługując dorosłych i dziatwę upasowaną przy oddzielnym stole. Młodzi goście prowadzili przy świątecznym posiłku ożywioną rozmowę połączoną z gestykulacją i przy tej okazji cztery razy wylali na obrus herbatę i stłukli kilka naczyń.

Dwaj biesiadnicy zorganizowali krótki mecz bokserski, a dziewczynki w popłochu rzuciły się pod stół przewracając małą Joasię.

Co chwila przedstawiciele władzy rodzicielskiej wołali w różnych tonacjach:

— Joasiu, chodź w tej chwili do mamuńki!
— Stefek, przestań się bić, bo dostaniesz!
— Zosiu, bój się Boga, przecież masz nową sukienkę!

Kiedy dziecięcy stół został uprzątnięty, rozbawiona gromadka zorganizowała długodystansowe biegi po całym mieszkaniu. Nie można zresztą dziwić się temu; trzeba było przecież jakoś urozmaicić sobie czas, który strasznie wolno płynie, kiedy grzecznie oczekuje się, aż dorośli wypiją ostatnią czarną kawę, lub skończą ostatniego robra. Wkrótce na trasie biegów nastąpiła kraksa. Jeden z zawodników rąbnął się w czoło o kant drzwi i popsuł całą zabawę. Mamy zerwały się z miejsc, aby karcić dzieci za zakłócanie spokoju.

Wreszcie starsi zasiedli do brydża. Dziewczynki usadowiły się na kolanach mam i pomagały im przeglądać. W sąsiednim pokoju chłopcy grali w ping-ponga. I właściwie wszystko było w najlepszym porządku. Tylko na twarzy gospodyni zbyt wyraźnie rysowało się zmęczenie. Wydawało się, że jej siły zostały szczególnie mocno nadszarpnięte wizytą licznie zebranych młodocianych gości.

Jeśli ktoś w tym miejscu zareplikuje, że nie wolno przecież zostawiać dzieci w domu bez opieki — całkowicie przyznam mu rację i szybko odpowiem, że nie trzeba zabierać dzieci na wizytę jeśli JEST MOŻLIWOŚĆ zorganizowania dla nich opieki w domu pod nieobecność rodziców.

Przy okazji składam wszystkim kobietom serdeczne życzenia spokojnych, pogodnych i miłych świąt. Sądzę, że może uda się każdej z nas wygospodarować w ciągu tych dwóch dni kilka godzin na prawdziwy wypoczynek z dobrą książką czy świąteczną prasą. Oby tylko nasze zamierzenia wypoczynkowe nie zostały zaliczone do wydarzeń primaaprilisowych.

zet.

LEGNICKIE ZAKŁADY PRZETWÓRSTWA OWOCOWO-WARZYWNEGO
w Legnicy, ul. Kręta 10

zatrudnią natychmiast pracownika na stanowisku
TECHNIKA B.H.P.

Kandydat powinien posiadać następujące kwalifikacje: wyższe wykształcenie techniczne lub średnie wykształcenie techniczne i kilka lat praktyki w zakładach produkcyjnych.

Wynagrodzenie zgodnie z umową plus świadczenia.

Zgłoszenia osobiste lub pisemne przyjmuje Sekcja Kadr L.Z.P.OW. Legnica, ul. Górnicza 2 (winiarnia).

R-63

Wesołych i pogodnych Świąt

mieszkańcom Legnicy i sąsiednich powiatów

życzy

załoga
Rzemieślniczej Spółdzielni Pracy
„Kominiarz" w Legnicy

R-72

Dyrekcja Legnickich Zakładów Gastronomicznych
w Legnicy

składa serdeczne życzenia świąteczne wszystkim Konsumentom i równocześnie zawiadamia, że w pierwszy dzień świąt tj. 2 kwietnia 61 r. czynne będą następujące zakłady:

KAWIARNIA W-Z, ul. Wrocławska 5
RESTAURACJA „SMAKOSZ", ul. Kamienna
RESTAURACJA „RARYTAS", ul. Złotoryjska 53
BAR RYBNY „NEPTUN", ul. Wrocławska 6
BAR „CENTRALNY", ul. Środkowa 51

ZAPRASZAMY

R-73

Powszechna Spółdzielnia Spożywców
w Legnicy

zawiadamia

swoich Członków, że Walne Zgromadzenie odbędzie się w dniu 14 kwietnia 1961 r. o godzinie 18 w Klubie Spółdzielczym, Rynek 48.

Bilans spółdzielni za rok 1960 wyłożony jest do wglądu Członków w biurze Spółdzielni przy ul. Ks. Ściegiennego 1, pokój 36, w. godz. od 8 do 15.

R-69

„Babki" tym razem lepsze...

Kolejna międzynarodowa impreza zgromadziła w sali sportowej SO KBW przy ul. Świerczewskiego ponad tysięczną rzeszę entuzjastów piłki siatkowej, którzy i tym razem nie mogli narzekać na brak emocji. Zwłaszcza — odwrotnie niż zazwyczaj — w pierwszym spotkaniu — drużyn żeńskich. Młodzieżowe reprezentantki Czechosłowacji nie poniosły w Polsce dotychczas porażki. Grają niezwykle dynamicznie i bardzo ładnie technicznie. W spotkaniu z drużyną Odry Wrocław przewyższały również i warunkami fizycznymi nasze zawodniczki.

Podopieczne trenera Łaza, sympatyczne siatkarki Odry walczyły niezwykle ambitnie, nawiązały równorzędny pojedynek z doskonałymi przeciwniczkami, urywając im dwa sety.

Właśnie dzięki nawiązaniu przez siatkarki Ody równorzędnej walki z młodzieżowymi reprezentantkami naszych południowych sąsiadów, spotkanie to bardziej podobało się publiczności niż główny mecz drużyn męskich.

Już porażka poniesiona przed dwoma tygodniami w spotkaniu mistrzowskim z najsłabszą drużyną w południowej grupie drugiej ligi — Bronią Radom — sygnalizowała, że siatkarze Piasta znajdują się w nie najlepszej formie. Że tak jest istotnie, przekonaliśmy się podczas niedzielnego spotkania. Wprawdzie młodzieżowa męska reprezentacja Czechosłowacji to przeciwnik o ustalonej marce — drużyna niezwykle bojowa i — mimo młodego wieku — wysoko zaawansowana technicznie — poziom gry naszego zespołu odbiegał, wydaje mi się, wyraźnie od tego, który reprezentowali siatkarze legniccy w pierwszej rundzie mistrzowskich rozgrywek.

Zawsze na tle silnego przeciwnika najłatwiej uwidaczniają się słabe strony zespołu. Siatkarze Piasta muszą koniecznie wzbogacić swój repertuar zagrywek technicznych i taktycznych — w tej chwili grają zbyt jednostronnie. Porażka 3:0 z młodymi reprezentantami Czechosłowacji absolutnie nie kompromituje naszego zespołu, który jeśli poprawi swą formę może robić jeszcze dużo zamieszania w II lidze, ale który w tym roku jeszcze chyba nie zdobędzie ostróg I-ligowców. Sympatyczni zawodnicy Piasta we wspomnianym spotkaniu robili wszystko na co ich było stać, aby wypaść jak najlepiej — a że nie znajdują się w swej najlepszej formie i przeciwnik był o klasę lepszy — musieli ponieść porażkę.

Słaba ostatnio forma siatkarzy Piasta ma swe przyczyny również w tym, iż zawodnicy nie uczęszczają systematycznie na treningi. Zaczynają się zaniedbywać.

Na marginesie tej imprezy chciałbym kilka słów poświęcić pewnemu „drobiazgowi". Jeśli ktoś kogoś zaprosi na przykład do domu i nie zapewni gościowi minimum wygody, naraża się w rezultacie na plotki, które często doprowadzają do tego, iż zdobywa sobie opinię niegościnnego, znajomi zaczynają go unikać. Analogicznie przedstawia się sprawa z organizatorami i gospodarzami jakiejś imprezy. Jeśli organizatorzy zapraszają kogoś na imprezę, powinni zaproszonym zapewnić minimum wygody. Logiczne i zgodne z dobrymi obyczajami.

A tymczasem dla kilku osób, które otrzymały oficjalne zaproszenia, które ułtano z wszelkimi „szykanami" — zabrakło niestety odpowiednich miejsc na widowni w czasie wspomnianej imprezy.

Nie silę się na tanie moralizatorstwo. Wydaje mi się jednak, iż działacze sportowi — zwłaszcza legniccy działacze siatkówki, którzy cieszą się opinią świetnych organizatorów — powinni dbać o to, aby przez takie właśnie „drobiazgi" nie ucierpiała w przyszłości ich renoma.

B. Freidenberg

Konkurs ukwiecenia Legnicy

Na najładniejsze ukwiecenie domów mieszkalnych (balkony, parapety okienne) oraz ogródków i kwietników przydomowych.

I. Za najefektowniejsze balkony lub komplety frontowe parapetów okiennych przyznane będą nagrody:

I — 750 zł.
II — 400 zł.
III — 200 zł.

II. Za najlepiej obsadzony i utrzymany ogródek przydomowy przylegający do ulicy, przyznane będą nagrody:

I — 500 zł.
II — 300 zł.
III — 200 zł.

Ponadto przewiduje się 20 nagród pocieszenia w sumie po 100 zł. Imienne ogłoszenie wyników konkursu będzie dokonane w sierpniu br.

OBYWATELKI I OBYWATELE MIASTA LEGNICY

Przystępując masowo do udziału w konkursie, przyczynimy się do podniesienia piękna naszego miasta.

Bliższych informacji w sprawie konkursu i sposobu zaopatrzenia się w potrzebne sadzonki, udziela Zarząd Zieleni Miejskiej w Legnicy, Park Miejski, tel. 37-93.

Uczestników konkursu prosimy o zarejestrowanie się w Zarządzie Zieleni Miejskiej w terminie do dnia 1 maja 1961 r.

„Moda Dolnośląska"
w Legnicy, Rynek 17

zawiadamia

że rozpoczęła sprzedaż gotowej konfekcji damskiej, męskiej i dziecięcej w wielkim wyborze.

ZNAJDZIECIE U NAS

eleganckie i praktyczne płaszcze, kostiumy i suknie damskie, garnitury męskie, spodnie, ubiory młodzieżowe i dziecięce, a więc mundurki szkolne, sukienki itp.

POSIADAMY RÓWNIEŻ

piękne płaszcze i kurtki futrzane, w które warto się zaopatrzyć już teraz, z myślą o następnej zimie.

Przypominamy swym Klientom, że zakład nasz wykonuje wszelkiego rodzaju konfekcję na zamówienia — ZA GOTÓWKĘ I NA RATY.

Ponadto wykonujemy przeróbki odzieży, reperacje, prasowanie i wykroje modeli.

R-70

Ogłoszenia drobne

ZARZĄD Rzemieślniczej Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu w Legnicy, ul. Rynkowa 27, III p., wzywa wszystkich klientów do odbioru oddanych do reperacji zegarków, w terminie 2 tygodni od dnia ogłoszenia. Nie odebrane zegarki zostaną sprzedane. D-90

UNIEWAŻNIA się skradzioną legitymację szkolną wydaną przez Liceum Ogólnokształcące Nr 1 w Legnicy na nazwisko **Chwieduk Roman.** D-91

SPRZEDAM warsztat kowalski. Wiadomość: Nowy Kościół nr 47, Grochotowa. D-52

Telegram!

Wystawa arrasów wawelskich

Miłą niespodziankę przygotował mieszkańcom Legnicy Wydział Kultury Prezydium MRN, który po wielu trudach i zabiegach zdołał sprowadzić do naszego miasta wystawę arrasów wawelskich.

Wystawa gości w salach Miejskiego Domu Kultury, Legnica, Mickiewicza 3. Trwać będzie tylko 1 dzień, tj. w sobotę, 1 kwietnia, gdyż w dniu następnym musi być odesłana do Krakowa, gdzie w salach wawelskich znajdzie swoje ostateczne pomieszczenie i będzie udostępniona szerokim rzeszom zwiedzających już w drugi dzień Świąt Wielkanocnych.

W związku ze spodziewaną frekwencją, kierownictwo MDK poszerzyło wejścia i umocniło klatkę schodową oraz specjalnym rusztowaniem stalowym obudowało ściany budynku. Przez cały dzień na miejscu będzie dyżurowało pogotowie ratunkowe, a MO obiecuje wylapywanie wszystkich kieszonkowców, którzy zapewne nie będą chcieli zrezygnować z nadarzającej się nie lada okazji.

Aby umożliwić jak największej liczbie mieszkańców Legnicy i wycieczkom z okolicznych miejscowości obejrzenie bezcennych skarbów kultury polskiej, wystawa czynna będzie do godziny 24.

Organizatorzy proszą, aby młodzież szkolna oraz zakłady pracy przychodziły w zorganizowanych grupach — pomoże to w sprawniejszym utrzymaniu porządku i zapobieg nie nadmiernemu tłokowi.

Wstęp wolny.

Pamiętaj — tylko jeden dzień, sobota 1 kwietnia do godz. 24.

Komunikat

Obywatelka Helena Grabowska proszona jest o zgłoszenie się w Miejskim Komitecie Frontu Jedności Narodu w Legnicy w gmachu PMRN pokój nr 50 w celu udzielenia wyjaśnień w sprawie złożonej skargi.

Kina

PROGRAM BIEŻĄCY

BAŁTYK — 30. III.—1. IV. — Premiera odwołana — prod. NRD — od lat 14.
KOLEJARZ — 27. III. — 1. IV. — Bunt kapitana — prod. czeskiej — od lat 16.
OGNISKO — 27. III. — 1. IV. — Kolorowe pończochy — prod. polskiej — od lat 7, wyświetlany o g. 15,45.
27. III. 1. IV. — Trzy czwarte słońca — prod. jugosłowiańskiej — od lat 12, wyświetlany o godz. 18 i 20,15
PIAST — 27. III. 1. IV. — Czarne błyskawice — prod. USA — od lat 12

PROGRAM NASTĘPNY

BAŁTYK — 2.—5. IV. — Mozart — prod. austr. — od lat 14.
6.—13. IV. — Złamana strzała — prod. USA — od lat 12.
KOLEJARZ — 2.—6. IV. — Śmierć na klęczkach — prod. franc. — od lat 15
7.—9. IV. — Mein Kampf — prod. szwedzkiej — od lat 16.
OGNISKO — 2.—9. IV. — Gorączka w El Pao — prod. franc. — od lat 18.
PIAST — 2.—9. IV. — Oni ocalili Londyn — prod. angielskiej — od lat 14.
Uwaga: Kino „Bałtyk" z powodu remontu wyświetla filmy w kinie „Ognisko" codziennie o godz. 9; 11 i 13.

Dyżury aptek

1. IV. — ul. Dziennikarska — tel. 36-16
2. IV. — ul. Jaworzyńska — tel. 24-56
3. IV. — ul. Polna — tel. 38-54
4. IV. — ul. Powstańców — tel. 35-47
5. IV. — ul. Matejki — tel. 39-71
6. IV. — ul. Dziennikarska — tel. 36-16
7. IV. — ul. Jaworzyńska — tel. 24-56

„WL"

„WIADOMOŚCI LEGNICKIE" — redaguje kolegium w składzie Bogusław Dębski, Adela Kordys (redaktor naczelny), Anna Matuszczak, Romuald Nader, Ignacy Pressler, Wacław Tooliński, Alojzy Wacławek (sekretarz redakcji) i Walerian Waszak. REDAKCJA: Legnica, Rynek 50-52. WYDAWCA: Prezydium MRN — MDK Sekcja Prasowa „Wiadomości Legnickie". Legnica, Rynek 50-52. TELEFONY: redaktor naczelny — sekretariat 41-46, sekretarz redakcji — 41-47, redaktorzy działów — 41-48, dział reklam i ogłoszeń oraz łączności z czytelnikami — 41-49. Zgłoszenia na reklamy i ogłoszenia ramkowe oraz drobne przyjmuje dział reklam i ogłoszeń oraz łączności z czytelnikami — telefon 41-49. Wpłaty: NBP Oddział Legnica konto nr 1620-96-72. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Nie zamówionych rękopisów nie zwraca się. Zamówienia na prenumeratę przyjmowane są przez Oddziały PUPiX „Ruch", urzędy pocztowe, listonoszy, sekretariat wydawnictwa. Cena prenumeraty: miesięcznej 0.35; kwartalnej 13 00; półrocznej 26 00 i rocznej 52.00 zł. Nakład: 10.000 egz. Druk RSW „PRASA" Wrocław.

T-5/6